
październik
1930
Teatr
i życie wytworne
cena zł. 1.40



GRACE

ÉLÉGANCE

CHARME

JEUNESSE

SOIR DE PARIS

UN

NOUVEAU

PARFUM

DE



STUDIO DEBERNY PEIGNOT

BOURJOIS

PARFUMEUR — PARIS

Drukowano na papierze kredowym Tow. Akc. J. Franaszek, Warszawa.

TEATR I ŻYCIE WYTWORNE

ROK IV

CZASOPISMO ILUSTROWANE

PAŹDZIERNIK 1930 r.

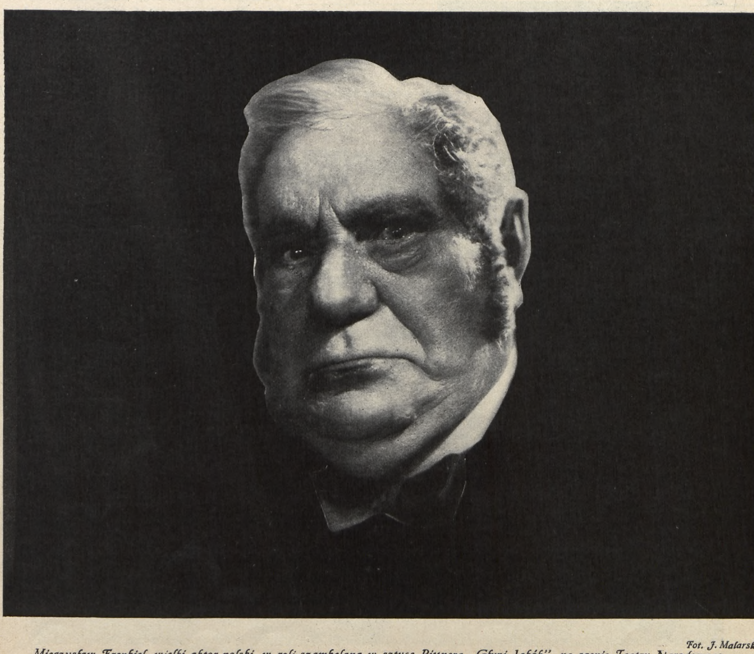
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT Nr. 27. TELEFON 303-42.



TREŚĆ NUMERU:

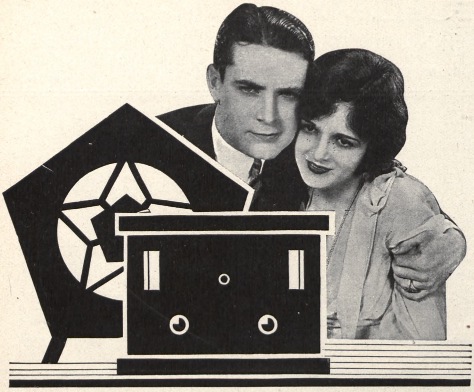
Okładkę projektował Tadeusz Gronowski





Fot. J. Malarski

Mieczysław Frenkiel, wielki aktor polski, w roli szambelana w sztuce Rittnera „Głupi Jakób", na scenie Teatru Narodowego



Szczęście — i miłość potęgują się przy upajającej muzyce, którą cudownie odtwarza najnowszy model 1930/31

Marconi'ego

4-o lampowy odbiornik do sieci prądu zmiennego, z piątą lampą prostowniczą 4 LS/2A lub

4-o lampowy odbiornik do akumulatora i baterji 4 LS/2D.

Katalogi bezpłatnie.

POLSKIE ZAKŁADY MARCONI S. A.
Zarząd i Fabryka: Warszawa Narbutta 29.
Oddziały: Warszawa, Marszałkowska 142; Łódź, Piotrkowska 84; Lwów, Akademicka 14.
Do nabycia we wszystkich większych firmach.



Linja klasycznej piękności nie starzeje się... Ten, kto kupi Lincolna, nie prędko go sprzeda... nie za rok, ani za pięć lub dziesięć lat — gdyż piękno jego nie przemija... Lincoln jest bowiem wytworem wyrafinowanej cywilizacji. Jego wnętrze, jego mechanizm — czołowe dzieła nowoczesnej, precyzyjnej roboty — to techniczna doskonałość. Lincoln — to samochód elity.

UPOWAŻNIENI ZASTĘPCY LINCOLNA:

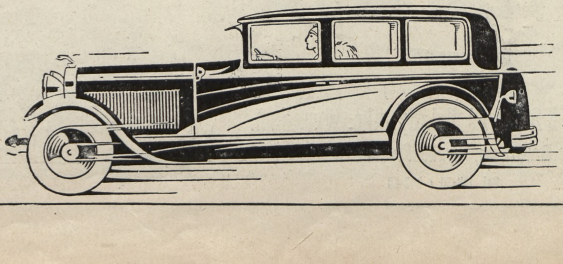
WARSZAWA:
Autotraktor, Sp. z ogr. odp.
B-cia S. i P. Bergman, Inż.
Motofors, Sp. z ogr. odp.

POZNAŃ: Józef Zagórski

LWÓW: Eshape Sp. z ogr. odp

LINCOLN

LINCOLN Ford FORDSON





Jan Ripper, mistrz Polski w jeździe automobilowej r. 1929.

Jan Ripper, Kraków Smoleńsk 31.

Kraków, dnia 27. sierpnia 1930.

P.T.

Firma "E N G L E B E R T" S.A.

W a r s z a w a
Krakowskie Przedmieście 5.

Na mocy długoletniego doświadczenia, używając różnych marek opon samochodowych, przekonałem się, że największą wydajność maszyny, zwłaszcza przy samochodzie wyścigowym, można wydobyć na oponach marki "Englebert".

Opony te posiadają nadzwyczajną trakcję, protektor zdziera się bardzo powoli, a płótno odznacza się niebywałą wytrzymałością.

Wobec powyższego uważam pośród wszystkich marek opon samochodowych markę "Englebert" za najlepszą i będę ją wyłącznie używał - o czem miło mi jest WPanów zawiadomić.

Z poważaniem

Jan Ripper

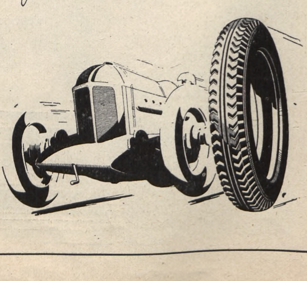
Englebert

Jen. Repr. na Polskę

„ENGLEBERT" Pol. Sp. Akc. Wyr. Gum.

Warszawa, Krak. Przedm. 5

Tel. 194-28 i 442-98



Teatr i Życie Wytworne.

ROK IV

CZASOPISMO ILUSTROWANE

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, NOWY ŚWIAT Nr. 27. TELEFON 303-42

PAŹDZIERNIK 1930 R.



Pani Zofja Ślaska, artystka teatru Qui-pro-quo, w pięknej sukni wieczorowej z firmy Goussin-Catteley (Vogue) Fot. Van-Dyck

5

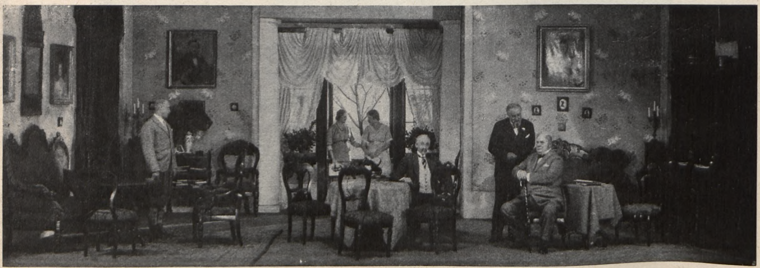
WACŁAW GRUBIŃSKI

WARSZAWSKIE TEATRY MIEJSKIE

Przewlekły, prawie chroniczny, od dziesięciu lat trwający, kryzys stołecznych teatrów miejskich doznał w ostatnim miesiącu nowego wstrząśnienia, poczem trwa w dalszym ciągu, bo jesienne przesilenia na stanowiskach naczelnych w teatrze muszą być dla odrodzenia sceny zupełnie jałowe, gdy w całej Polsce kontrakty z artystami zawiera się przecież w cudnym miesiącu maju. A właśnie najbardziej chory organ naszych teatrów miejskich to nie co innego, tylko scena z jej całem zjełczałem, sennem zakulisiem. Teatrom miejskim trzeba nie zwlekając zaordynować trepanację sceny dla wycięcia jej ogromnego polipa niemrawości, dla wypalenia jej tężca i twardych mikrobów żółwizmu. Dopiero po tym okrutnym zabiegu można, już w atmosferze odzyskanego zdrowia, rozpocząć planowe odbudowywanie chwały pierwszego teatru dramatycznego Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. I opera, zapewne... Trzeba jednocześnie rozstrzygnąć i zagadnienie opery, zagadnienie w tej chwili obolałe, i jak mniemam, również domagające się chirurgicznego noża. Opera jest instytucją w stolicy niezbędną, ale opera, nie weronal, podawany w śpiewie, nie roje muszek tse-tse, produkowanych głosowo przez zastygające chóry. Znaczenie społeczne muzyki dla uszlachetnienia obyczajów rozumiem i doceniam. Wiem, że przed kilkoma tysiącami lat największy mędrzec chiński, założyciel religji, mąż za życia swego czczony jak monarcha, mimo że racjonalista, zalecał przecież uprawianie muzyki, ponieważ muzyka wznosi nasze myśli, wydelikatnia nasze uczucia i z egoistów czyni nas dobrymi, względnymi, łagodnymi. Konfucjusz wychowywał obywateli przy pomocy muzyki i śpiewu. Nie wydaje mi się jednak, żeby uznał dobroczynny wpływ warszawskiej opery na kształtowanie charakterów w Polsce, bowiem niezajęte fotele w Teatrze Wielkim świadczą gromadnie i wytrwale o niezmiernie wątłej sile atrakcyjnej śpiewu i muzyki operowej sceny. Wiadomą jest przecież rzeczą, że muzyka i śpiewanie wtedy tylko nas porywa, kiedy nas porywa. Jeżeli nas nie porywa, no to nas nie porywa. Śpiew, który nas nie zachwyca, nie kształtuje naszej duszy. Konfucjusz nie dbałby zapewne o zachowanie placówki, która na duchowy rozwój szanownych obywateli wywiera tak nijaki wpływ, jak opera warszawska, ta dotychczasowa, ta pustokrzesła, ta unikana, ta nieuczęszczana, ta nudna, jak flaki z olejem. O ile znam Konfuncjusza, to myślę, że dzisiejszą weronalną operę warszawską zamknąłby bez żalu i zorganizowałby nową, bo celem instytucji śpiewaczej nie są emerytury, «byt wielu rodzin» i dumne prawa zawodowego związku orkiestrowego, czy chórowego, jeno sztuka śpiewacza i sztuka muzyczna. Nawet najzacieklejszy komunista, gdy siedzi w operze na *Weselu Figara* Rossiniego, wymaga aby interpretator partji tytułowej (i nietylko tytułowej) był znakomitym śpiewakiem i pierwszorzędnym aktorem, nie zaś zasłużonym członkiem partyjnej jaczejki. To samo endek, to samo chadek i to samo wyzwoleniec. Bo sztuka jest potęgą ponad partyjną i poza związkową. Związki zawodowe pracowników scenicznych powstały nie po to, żeby paraliżować pracę artystyczną na scenie. Jeżeli tę pracę paraliżują, podcinają gałąź, na której siedzą, bo publiczność unika marnych teatrów a subwencjonowanie marnych teatrów poto, żeby były marne, sprzykrzy się wkońcu najdemokratyczniejszemu nawet magistratowi.

Zachowywanie licho działającej instytucji artystycznej tylko dlatego, że każdy członek tej instytucji musi mieć posadę i to możliwie najlepiej płatną, przeistaczałoby instytucję artystyczną w instytut filantropijny, co przecież nie ma sensu. Byłoby wskazane, żeby nasze czasopisma, rozpatrujące z wybitnym doprawdy temperamentem zagadnienie opery warszawskiej, omawiały to zagadnienie trochę chłodniej, mniej sentymentalnie, a bardziej rzeczowo, z punktu widzenia sztuki, nie z punktu widzenia materjalnych potrzeb pierwszej altówki, trzeciego tenora i ostatniego chórzysty. Wszyscy musimy jeść, mieszkać i wykupywać weksle, nikt temu nie przeczy, na tej zasadzie jednak nie da się przeprowadzić odrodzenie opery warszawskiej. Sceny dramatycznej również. Zresztą, sezon 1930—1931 jest dla reorganizacji teatrów stracony. Byłoby dobrze, żeby był użyty na studja przygotowawcze do reorganizacji. Trudno przecież wypracować plan tak obszerny, jak zasadnicze odnowienie dwóch, a nawet trzech, miejskich scen w ciągu trzech tygodni. Wartoby odbyć podróż po prowincji, przyjrzeć się artystom scen pomniejszych. To wymaga czasu, bo niedość zobaczyć jakiegoś młodego aktora w jednej roli, aby zdać sobie sprawę z jego talentu i ze stopnia jego fachowego wykształcenia. Ale... nie wdawajmy się w szczegóły.

Dziesięcioletni kryzys teatralny w stolicy trwa. Najwyższy czas, żeby trwać przestał. Musi wreszcie magistrat znaleźć takiego człowieka, któremu z pełną wiarą będzie mógł powierzyć uzdrowienie scen stołecznych, albo niech je wydzierżawi, bo kilkomiljonowy coroczny deficyt na teatry o dzisiejszym żałosnym ich poziomie artystycznym, to co kolwiek zadrogo. Drogo aż do śmieszności.



Scena zbiorowa aktu II komedji Rittnera „Głupi Jakób" na scenie teatru Narodowego *Fot. Malarski*

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI

PYJAMA

MOTTO:
In arena aedificas... *)

Panna Felicja Okoniówna była urzędniczką ministerstwa Poczt i Telegrafów, wydawała codzień, w okienku Nr. 123 na placu Napoleona, od godziny 8-ej rano do godziny 20-tej wieczór (oczywiście, z przerwą obiadową) korespondencję poste-restante.



Pan Charles Devey doradca finansowy Polski
Karykatura E. Głowackiego.

Przedtem pracowała w znaczkach pocztowych i nie buntowała się wcale. Ale styczność z klijentelą okienka Nr. 123 zaczęła wywierać jakiś dziwny wpływ na jej charakter. Wązkie, pachnące liściki, nadchodzące raz z Biarritz, kiedyindziej z Nizzy, egzotyczne stemple pocztowe, wytworni panowie i panie, zjawiający się często przed jej okienkiem (i maskujący z trudem szalone zdenerwowanie, gdy oczekiwany list «od niej» albo «od niego» nie nadszedł) zmąciło pogodę jej ducha.

Któregoś dnia panna Felicja przyszła do wniosku, że właściwie światem rządzi nie żaden minister, czy dyrektor wydziału, tylko AMOR WYTWORNY. Wyobraziła go sobie wnet z przedziwną plastyką. A nawet przyśnił jej się kiedyś. Miał rysy amanta filmowego, jedwabny szlafrok z wyłogami, cudnie wymanicurowane ręce i nizki, zmysłowy głos.

— Panno Felicjo — powiedział omdlewająco — A gdybyśmy tak wyjechali jutro na Riwjerę?

Takie były, mniej więcej, preludja — a rzecz sama rozegrała się pewnego czerwcowego wieczoru, kiedy panna Felicja, zmordowana, wracała do domu, na Chłodną, i irytowała się w duchu, że zje na kolację tylko 2 serdelki, i nawet do kina nie pójdzie, bo ma w torebce raptem 50 groszy.

Na rogu Marszałkowskiej zaczepił ją jakiś gustowny starszawy pan, z nosa wnosząc, izraelita.

— Pani taka śliczna i taka sama?



Pani Dorothy Lane, małżonka Radcy Handlowego Ambasady St. Zjedn. A. P.

Byłaby mu, kiedyindziej, odpowiedziała w sposób wybitnie brutalny i antysemicki. Ale wieczór był naprawdę denerwujący. Pannie Felicji majaczyły się dalekie podróże, jachty, auta, szampan, (znany tylko ze słyszenia) kwiaty, kotlety dewolaj, perfumy, jedwabne pończochy, i inne takie rzeczy...

Więc zawarli znajomość.

* * *

Nie w ciemię bita, młoda urzędniczka osiodłała w mig swojego izraelitę. Już w Wiedniu nabrała tupetu, a w Wenecji zapisała się w księdze hotelowej, tout court, O'Koń. Im dalej, tem łatwiej. Na Lido była już O'Kon. A gdy dotarli do Neapolu, zadarła nosa jeszcze bardziej, i oświadczyła swojemu przyjacielowi, że nie nazywa się odtąd ani O'Koń, ani O'Kon, ani nawet O'Cohn — tylko O'Connor. Słyszała, że w każdym kraju jest jakiś, albo jakaś, O'Connor. Więc zaadoptowała śmiało to ładnie brzmiące, arystokratyczne nazwisko.

Gdy dotarli do Paryża, panna Felicja przybrała tytuł baronowski. A w Biarritz, w słonecznej stolicy Basków — zapisała się już w hotelowej réception, jako Comtesse Fela O'Connor.

Chytre fagasy w portjerni przewąchały, rzecz prosta, błyskawicznie jej problematyczne dziewięć pałek. Ale ci ludzie się nigdy niczemu nie dziwią. Nie mogą, nie są w stanie się dziwić. Jeżeli bowiem jednego dnia autentyczny kuzyn Kedywa bucha tuzin srebrnych łyżeczek i wędruje do paki, a nazajutrz obdartus, któremu nie chciano wynająć pokoju, okazuje się siostrzeńcem Forda—to już wogóle niema o czem gadać, bo światem rządzi przypadek.

— Comtesse O'Conncor? Fela? Parfaitement.

* * *

Awansowała panna Fela O'Connor — pardon! hrabianka Fela O'Connor — niezwykle szybko. W jakiś czwartek, kiedy u nas się jada zwyczajowo flaki, postawiła pierwszy, płochliwy krok na plaży, odziana w trykot tango. Zaledwie paru panów zwróciło na nią uwagę — i pan Leon Biber (tak było na imię jej protektorowi) musiał, po powrocie do hotelu, wysłuchać kilku gorzkich uwag na temat męskiego egoizmu, brutalnego obchodzenia się z nią, Felą O'Connor, nierozumienia jej, (Feli O'Connor) żeńskiej, subtelnej duszy.

Wyjął tedy pan Leon, westchnąwszy głęboko, pugilares, wyjął zeń ładnym gestem 1000 franków i powiedział łagodnie:

— To sobie kup już te pyjame, Feluniu.

Bo w rzeczy samej chodziło właśnie o pyjamę. Panna Fela zauważyła na plaży, że żadna z elegantek nie paraduje w kostjumie kąpielowym. Wszystkie przechadzają się w majtasach niesłychanej szerokości i krótkich bolerkach. Rzecz prosta, że hrabianka O'Connor też musiała mieć pyjamę ostatniego typu — i to zaraz.

Pojechali niezwłocznie do sklepu, wytargowali się, kupili. Ex-urzędniczka z placu Napoleona ukazała się nazajutrz na plaży w pyjamie jedwabnej, cudnej, zasłaniającej wszystko najzazdrośniej:



Pan Clayton Lane, Radca Handlowy Ambasady St. Zjedn. A. P.

*) Na piasku budujesz...

«GŁUPI JAKÓB»,

komedja w 3-ch aktach Tadeusza Rittnera w teatrze Narodowym. Reżyserja J. Śliwickiego, dekoracje W. Drabika.

Osobliwością ostatniego wznowienia najznakomitszej komedji Tadeusza Rittnera jest to, że za wiele miejsca w niej zabiera sufler. Kurtyna idzie w górę i po chwili odzywa się sufler. I tak jest do końca. Zamiast *Głupi Jakób*, sztuka powinna się nazywać *Głośny sufler*. Oczywiście, sufler dlatego jest głośny, że musi. Nie jego wina. Raczej jego zasługa. Bo gdyby on nie był głośny, to na scenie zalegałaby taka cisza, jak makiem siał.

Pan Mieczysław Frenkiel sławnie gra szambelana. Wszyscy ubodzy krewni powinni prowadzić swoich bogatych krewnych do teatru Narodowego na *Głupiego Jakóba*, aby tym bogatym zademonstrować obrzydliwość bogatego krewnego, tyranizującegon miłych, delikatych, uległych, wyrozumiałych, przebaczających krewnych ubogich. I żeby taki bogaty krewny wystrzegał się młodej ładnej dziewczyny, nie mającej pieniędzy, a mającej ambicję. Namiętność w starszym wieku, to niby stryk na szyję. Namiętność w każdym wieku jest niebezpieczna, ale w wyziębłem sercu starca pali się bardzo brzydko.

Tą ładną, młodą dziewczyną, sprzedającą się za majątek, jest w ostatniem wznowieniu *Głupiego Jakóba* p. Marja Gorczyńska. Wygląda ślicznie, kilka scen gra ładnie, naogół jednak brak jej interpretacji, wycieniowania, półtonów. W roli tytułowej bardzo dobry jest p. Warnecki, artysta inteligentny o pięknych warunkach tak zwanych zewnętrznych.

Znakomicie gra byłego oficera austrjackiego p. Justjan. Jest to chyba najlepsza rola tego sympatycznego artysty, zamiłowanego i pracowitego.

Mimo nierówności w wykonaniu poszczególnych ról i poszczególnych scen, nie pożałuje, kto pójdzie na przedstawienie *Głupiego Jakóba*. Zwłaszcza, że z każdym następnym wieczorem podobno suflera słychać coraz mniej.

Podobno.



Mieczysław Frenkiel



M. Gorczyńska i J. Warnecki

Fot. J. Malarski



Kazimierz Justjan

PYJAMA (ciąg dalszy)

ukazać się potem bez pyjamy, w ciasnym trykocie — to dopiero sensacja!

Efekt był duży, bo hrabianka Fela O'Connor miała istotnie ładne uda i fotogeniczną resztę. Już nie paru panów, ale kilkunastu sypnęło do niej oko. Rozpromieniła się wewnętznie, nabrała rezonu.

— Leon — powiedziała do swego przyjaciela, po lun-chu — chcesz, czy nie, ale my od dziś przestajemy się kąpać w Miramar i kąpiemy się w Chambre d'Amour!

* * *

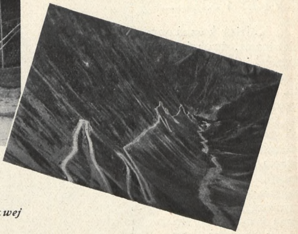
Niewtajemniczonym, obie te cudnie brzmiące nazwy, nic nie mówią. Ale kto odebrał elementarne święcenia, ten oczywiście wie, że w Miramar kąpie się towarzystwo mieszane, a w Chambre d'Amour — sama śmietanka. I przytem nie w żadnym tam Atlantyku, choć Atlantyk tuż, tylko w basenie, bo to mniej banalne. I grenadina kosztuje nie 10, tylko 20 franków, i argentyńska orkiestra gra znacznie niedbalej, i wogóle jest szykowniej. Tylko Chambre d'Amour. Tylko!

A w dwa dni później hrabianka Fela O'Connor poznała się z cudnym młodym hiszpanem, czy włochem — (dobrze nie wiedziała) — który jej się przedstawił, jako hrabia Campostello-Los Dryblasos i zaraz, z punktu, szepnął jej do ucha, że muszą się spotkać na dobroczynnym dancingu w Chiberta, bo tam dziś jest soirée gala i będzie król hiszpański.

Melancholijny pan Leon, volens-nolens ubrał się we frak i pojechał z hrabianką O'Connor do owego Chiberta. Króla Alfonsa XIII-go, rzecz prosta, nie było — ale było zato wielu jego urodziwych imienników, no, i szampiter po 350 franciszków buteleczka. Pan Leon wydął bojaźliwie górną wargę i siedział, jak mruk, przy stoliku—przez cały prawie wieczór sam.

(C. d. na str. 24)



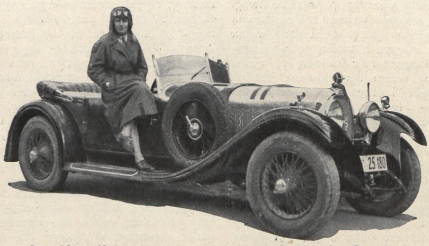


Migawki z podróży górskiej p. Marji Koźmiancwej

BENZYNOWA AMAZONKA

Bieżący sezon automobilowy, wyjątkowo obfity i ciekawy, przyniósł nam prawdziwą rewelację: nareszcie mamy automobilistkę, która traktuje sport automobilowy nie jako pożyteczną i miłą rozrywkę, lecz jako zagadnienie pierwszorzędnej doniosłości, wynikłe z głęboko zakorzenionej ambicji i temperamentu sportowego.

Już w ubiegłym roku przekonaliśmy się, że pani Marja Koźmianowa jest automobilistką nieprzeciętnej klasy. Podczas raidu pań, pani Koźmianowa osiągnęła w trudnej konkurencji najlepsze wyniki i uzyskała w ogólnej klasyfikacji pierwsze miejsce, zdobywając m. in. nagrodę redakcji pisma „Teatr i życie wytworne".



Pani Marja Koźmianowa na swoim rasowym wspaniałym Daimlerze

W roku bieżącym pani Koźmianowa, niezrażona zeszłorocznem niepowodzeniem w wyścigu górskim (dotąd jeszcze most za Łysą Polaną automobiliści żartobliwie nazywają „mostem imienia pani Marji Koźmianowej"), dzielna automobilistka stanęła do wyścigu Tatrzańskiego i osiągnęła wynik bardzo dobry.

Najbardziej doniosły sukces odniosła pani Koźmianowa na wyścigu okrężnym we Lwowie. Pierwsze miejsce w kategorji mocno obsadzonej — takim wynikiem nie każdy automobilista może się poszczycić.

Nie poprzestając na tych pięknych wyczynach sportowych, pani Koźmianowa uprawia z zapałem turystykę automobilową. Na swym pięknym a doskonałym Austro-Daimlerze, cieszącym się już wielką popularnością w świecie sportowym, wykonała ona tego lata podróż zagraniczną, celowo obierając drogę przez najtrudniejsze przełęcze alpejskie. Opis tej podróży zająłby zbyt wiele miejsca, wszakże dla automobilistów wystarczy samo streszczenie głównych etapów trasy:

Wiedeń, Semmering, Leoben, Murau przełęcz Katschberg 1641 m. n. p. m. (Najstromsza droga samochodowa w Europie, spadek dochodzi do 32%) (Cortina d'Ampezzo, przełęcz Tre Croci 1809 m. n. p. m. Misurina, przełęcz Falzerego 2117 m. n. p. m. przełęcz Pordoi 2242 m. n. p. m. przełęcz Costalunga 1753 m. n. p. m. Bozen, przełęcz Mendola 1360 m. n. p. m. Trento, Arco, Riva (jezioro Garda), Roveretto, przełęcz Piono d. Fugaze 1157 m. n. p. m. Vicenza, Verona, Brescia, jezioro Iseo, przełęcz Aprica 1181 m. n. p. m. Tirano, Bormio, przełęcz Giogo d. Stelvio 2759 m. n. p. m. (najwyższa droga samochodowa w Europie). Meran, przełęcz Giovo (Jaufenpass) 2129 m. n. p. m. Insbruck, Salzburg, Wiedeń.

Jak widać z tego streszczenia, tylko rutynowana kierowczyni i to na doskonałej maszynie mogła się zdobyć na przebycie bardzo pięknej, lecz i niezmiernie trudnej podróży.



Na przełęczy górskiej w Szwajcarji



U podnoża włoskich Alp

KORNEL MAKUSZYŃSKI

BYLE PRĘDZEJ

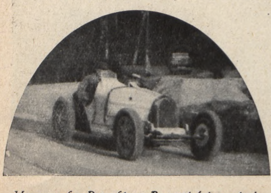


Na tarasie „Bristolu" w przeddzień wyścigu Tatrzańskiego: pp. Regulscy, pp. Hergetowie, p. Horodyski i p. Sękowski

Gdzieś komuś powiedziałem niebacznie, że chciałbym mieć automobil. Wiele się rzeczy gada i wielu rzeczy nigdy się nie posiada. Tymczasem o tym «moim» automobilu poszła wieść szeroka, że go kupuję, że go już kupiłem i że go sam prowadzę. Nikt — na szczęście — nie zaryzykował twierdzenia, że już go zapłaciłem. W ten sposób jednakże zostałem podstępnie wciągnięty w sferę zainteresowań, brzydko pachnących benzyną i znalazłem się, jak kto głupi, w chmurze kurzu, który jak welon za oblubienicą, ciągnie się za rozpędzonem autem. Automobil mało wprawdzie przypomina oblubienicę, ale mnie to mało obchodzi; dość, że zaczęto ze mną poważnie rozmawiać na automobilowe tematy, kiedy zaś zobaczono mnie na raidzie w Zakopanem, nastał kres. Do szczytu szaleństwa natomiast doszła redakcja «Teatru i życia», która mnie z niewypowiedzianą powagą poprosiła o uwagi na temat owego raidu, ja zaś, przypomniawszy sobie zabawną historję tego wesołego obłąkańca, który u Marka Twaina «redagował gazetę rolniczą», równie z wielką powagą zgodziłem się na to szaleństwo. «Płacącemu nie dzieje się krzywda».

Moja znajomość automobilizmu ugruntowana jest na dokładnej znajomości dość trudnej i niebezpiecznej trasy automobilowej Plac Zbawiciela — Plac Teatralny, w poczuciu jednak sumienności, sam sobie z tego zdaję sprawę, że jest to może cokolwiek zamało do zabierania głosu w kwestjach fachowych, dlatego, okrążając zdaleka wszystkie wozy, smarowidła, kierowców i rzeczy, które ich są, zdziwionem spojrzeniem przyjrzę się samej raidowej awanturze. Fachowe gadanie z warjatami, pozostawiam warjatom, nauczony doświadczeniem w innej dziedzinie obłędu. Raz mnie zaprowadzono na matsch piłki nożnej; kopano się tam w brzuchy i w inne miejsca delikatne, uderzano piłką o głowę i głową o piłkę, a przedewszystkiem robiono straszliwy rejwach. Kiedy całe obłąkane zgromadzenie zaczęło wrzeszczeć: «Corner! corner»! — zwróciłem się uprzejmie do jakiegoś wyjącego sztubaka z uprzejmem zapytaniem, co oznacza to twarde słowo? Sztubak oniemiał, pobił mnie spojrzeniem po głowie, kopnął mnie niem w brzuch, a potem zwróciwszy się do swego kolegi, piegowatego bandyty, powiada: — «Staszek, widziałeś kretyna?» — Mowa była wyraźnie o mnie, bo nie wiedziałem, co to takiego «corner». Dlatego na słonecznej trybunie podczas tatrzańskiego wyścigu pod Morskiem Okiem, nie wypowiedziałem słowa jednego na właściwy temat. Gdyby wykrzykiwano najobelżywsze wyrazy, zupełnie dla mnie niepojęte, milczałbym, jak zdechły motor.

Wogóle czułem się tam nieswojo. Każdy coś widział, coś gadał, wróżył, kombinował, objaśniał, — tylko ja jeden jak ta tabaka w rogu trybuny. Ani be, ani me, co zresztą potrafi każdy baran na górskim stoku. Właściwie to miałem prawo do takiego bałwaństwa, bo mnie zamianowano



Maurycy hr. Potocki na Bugatti ścina wiraż

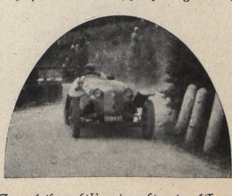
«honorowym» gościem, a chyba nie zdarzyło się jeszcze, aby taki wiedział, co się koło niego dzieje? Skąd się tam wziąłem?

A czy ja wiem?

Wszyscy jechali, więc i ja pojechałem, bo nie chciałem, jak ta sierota nieszczęsna, sam zostać w Zakopanem, poza tem firma Citroën wpadła na nieszczęsny pomysł i dała mi do dyspozycji wspaniały wóz, może w tej obłędnej nadziei, że porwany powszechnem szaleństwem, stanę do wyścigów. Serdecznie tej firmie dziękuję za wóz, ale po tem, co widziałem na raidzie, nigdy do wyścigów nie stanę.

Dawno wiedziałem o tem, że «umarli prędko jadą», poraz pierwszy jednak przekonałem się naocznie, że żywi jadą jeszcze prędzej. Ten warjat z gołą głową, Ripper, dognałby każdego upiora na pierwszym kilometrze. Co to jest upiór? Jest to taki niespokojny umarlak, co pędzi na chudej szkapie, wywraca gorejące oczy i z gęby puszcza dym, przekonany, że jest straszliwie groźny i że cały świat przed nim ucieka. A co robi automobilista z raidu? Przedewszystkiem ma w pięcie upiora, bo nie śmierć jego goni, tylko on goni śmierć. Po co to robi, — tego ja nie wiem. Rozumiem, że można gonić za szczęściem, za sławą, ba! nawet za kobietą, gdyby się na świecie znalazła taka, co ucieka. Ale za własną gonić śmiercią, to już wielka jest sztuka. Coś te obłąkańce muszą widzieć przed sobą, o czem my, ludzie rozważni, nie wiemy. Coś ich woła i wali i mani, a jakiś czort, co im sprzyja, goni razem z nimi, musi to być czort, bo uczciwy anioł lata poważnie i spokojnie. Djabeł siedzi na przodzie maszyny i gwiżdże razem z wiatrem, a człowiek, zawodowy warjat, naciska pedały maszyny i własne naciska serce, aby też oszalało. Jest to najbardziej rafinowany sposób pijaństwa; solidny człowiek łyka wino, a taki benzyniarz łyka powietrze, upija się nieprzytomnie i gna na złamanie karku, pieszcząc w pijanym łbie nadzieję, że w szaleństwie pędu oderwie się od ziemi, jak po stycznej koła i wyleci w przestrzeń. Pijacy wichru muszą mieć najbardziej nieprawdopodobne pomysły. Jedno mnie w tem wszystkiem zdumiewa, rozumiem, że taki obłęd czepił się Potockiego, Rippera, Liefelda i innych potępieńców. W tej kompanji jednakże djabelskiej jest i nadobna dama, wielce miła pani Koźmianowa. Coście z tą białogłową uczynili, złoczyńcy, sześciocylindrowi? Oto takiego samego jako i wy, warjata. Zamiast siedzieć w buduarze i głośno czytać ślicznie nudne wiersze starego Koźmiana, kobieta dosiada wyjącej maszyny, oczy niebieskie zamienia w srogie reflektory, toczone ramiona w stalowe dźwignie i gna na wichrze, aby wywalczyć jedną piątą część sekundy. Bogać mi! Wszystkie stateczne i dostojne matrony polskie, obracają się w grobach, jak wrzeciona, a Klementyna z Tańskich powiada do wieszczki Deotymy: «Koniec świata się zbliża, Koźmianowa na ognistym smoku w spodniach jeździ»!

Mało mnie to właściwie obchodziło, kto umie ostatni dech wyprzeć z maszyny i kto prędzej stanie u mety.



Zawodnik czeski Vermirowski na 4-cyl. Tatrze

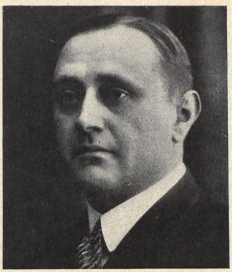
Wspaniałe góry dokoła, kamiennie zadumane, równie małe zdradzały w tym względzie zainteresowanie. Przyznaję się jednak, że mną febra zatrzęsła, kiedy wytworny pan v. Stuck nabił naszych o jakieś tam sekundy. To się nie powinno było przygodzić. Protestuję przeciwko takiemu załatwieniu sprawy. Serce mnie mocno zabolało. Bo i jakże? Dotąd najlepiej jeździliśmy konno, a oto i w tym interesie czworonożnym zrobiliśmy na świecie plajtę. Przerzuciliśmy się na automobile, więc trzeba, że to polska furja na samym początku jest zawszę zwycięska, aby wywalczyć tych czternaście sekund. Panie Potocki, panie Liefeld, panie Ripper! Gdybyście wiedzieli o tem, co się działo w rozdygotanych sercach na trybunie, kiedyście gnali jak djabłowie w chmurze pyłu, to może p. v. Stuck nie byłby pierwszy. Podobno miał lepszą maszynę i większe doświadczenie z alpejskich częstych zawodów. Ale co nas to obchodzi? Na przyszły raz ma być inaczej.

Mówię tak umyślnie, bo naszego brata trzeba rozdroczyć. Przed przyszłymi wyścigami wynajmę się specjalnie do pyskowania na ten temat i będę homeryckim, soczystym stylem, podjudzał polskie dusze przed walką. Moryś Potocki, zacny chłop, nie da się byle czem wyprowadzić z jabłonny równowagi, ale do srogiej przywiedziony pasji, jako Achilles gniewem zawrzy i czasowi z gardła tych czternaście sekund wydrze. Tak będzie, choćbym miał benzynę pić. Teraz też był zawzięty, ale widać, jeszcze zamało, albo się też żony bojał, co siedziała na trybunie z uroczą duszą na ramieniu. Powinno być zakazane, aby żony tych szybkobiegaczów były obecne podczas raidu. Costes i Bellonte byliby nie dolecieli do Ameryki, gdyby pani Costes siedziała z lornetką na Azorach, a pani Bellonte gdzieś koło Halifaxu. Strach połowicy unosi się nad wodami i nad wirażami, a jest się czego bać. Na czwartym kilometrze można mieć jeszcze męża, a na szóstym już tylko mizerne jakieś resztki, niesione w węzełku przez pana doktora Kwiatkowskiego. Podczas wyścigu powinny być obecne jedynie teściowe i powinny od czasu do czasu wydawać znany nieszczęsnym okrzyk bojowy. Rwałby taki z kopyta, jakby go komornik gnał i zatrzymaliby go dopiero na czeskiej stronie. A śliczna żona to tylko przeszkadza, bo serce się w niej tłucze, a automobilista myśli, że to defekt w motorze.

Żona powinna otrzymać depeszę: «Zwycięstwo!» — albo «Odsyłamy lewą nogę, prawej nie można znaleść».

Na p. v. Stucka nikt nie patrzył, a huczący motor jedynie słuchowo przypomina żonę, dlatego «przyszedł» w Tatrach pierwszy. Nikt mu zapewne przed wyścigiem nie mówił: «a uważaj!» — «a nie szalej!» — «a ja zwarjuję z emocji» i t. p.

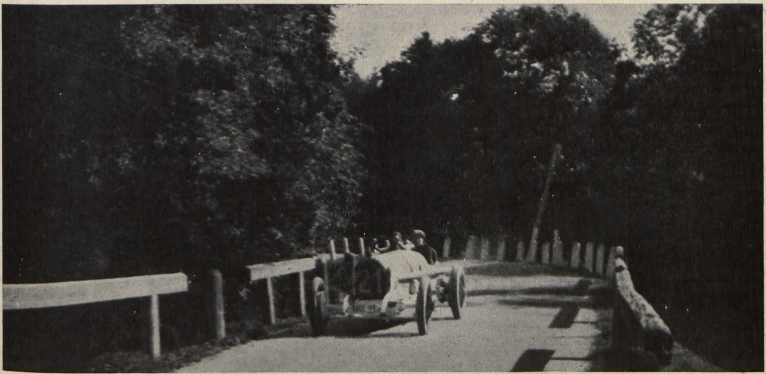




W sierpniu r. b. odbył się w Brnie (Czechosłowacja) ślub p. Marji Wąż-Ambrożewiczówny z p. Hugo Spaczkem, Dyrektorem Zarządzającym Firmą Tatra-Auto w Polsce



Krakowianin dr. B. Frübling na Bugatti



Inż. Henryk Liefeld na Austro-Daimlerze uprawia poranny trening

Myślę, że żonaty zawodnik powinien sztucznie pokłócić się z żoną i tuż przed wyjazdem na trasę, usłyszeć wdzięczne: «A idź na złamanie karku!» Wtedy ani karkuby nie skręcił i przyszedłby pierwszy. A na wszelki wypadek, gdyby go i skręcił, toby przynajmiej miał wymówkę.

O taki drobiazg bardzo zresztą łatwo. Za wszystkie skarby tej ziemi! — więcej! za sto pięćdziesiąt złotych gotówką, nie usiadłbym z Kiperem, w jego maszynie, bo przedewszystkiem to nie jest żadna maszyna, tylko prywatny dom warjatów na czterech kołach. Człowiek patrzy, oczy wytrzeszcza, w głowie mu się kręci. To stalowe bydle huczy, drży, trzęsie się, jakby miało konwulsje, połyka drogę, jak Italczyk makaron, zatacza się na zakrętach, jak pijane, oddycha piekłem i wali w przestrzeń, jak pocisk. Boże miły, dzięki ci, że nikogo stamtąd nie wynieśli. Dla tych narwańców musi to nawet być wesołe, bo ich widziałem po raidzie w restaurancie, gdzie radowali się życiem i o, dziwo! Rano taka bestja apokaliptyczna brał górski wiraż, że ledwie mignęło, a wieczorem co się rozpędził, zaraz krzywił drogę. Jakie to jednak mądre urządzenie, że w restaurantach niema rowów przydrożnych, ani kup kamieni!

Uroczystość warjacka, zwana raidem tatrzańskim, wywołuje ogólne podniecenie; benzyna uderza ludziom do głowy, oszałamia ich górskie powietrze, o dreszcz przyprawia groza niebezpieczeństwa. Własnemi oczyma widziałem śmierć,



Zawodnik austrjacki, Weinschenk na 6-cyl. Tatrze

co w postaci górskiego orła ważyła się wśród gór na skrzydłach szerokich, bystrze patrząc, gdzie spaść i kiedy, a potem odleciała niechętnie. W gorączce były te tysiące ludzi, ścigały wzrokiem pociski maszyn, lecące ze świstem. I to było nadzwyczaj piękne. Nad wyraz zaś zabawne było podniecenie Zakopanego. Ukochana mieścina, w którą nagle wpadło tysiąc kilkaset samochodów, rozmaitej marki i wyznania, zmieniła się na kilka godzin w stolicę i oszalała, ale z wielką powagą. Zakopane miało minę na temat: «Wielkie mecyje! dwa tysiące aut!» Niby, że to nic nadzwyczajnego, niby że to zwykła rzecz. Ale głowę podniosło aż nad Gubałówkę, a serce w niem drżało z tajonego zachwytu. Szlag trafi tą sikającą wiedźmę, Krynicę, cholera weźmie Ciechocinek. Tam jest jeden Ford na trzech kołach, a my tu mamy dwa tysiące aut. Przyznam się, że i mnie dech zaparło, jako staremu gaździe. To też stąnąłem sobie na rogu i patrzyłem przez łzy, jak posterunkowy, co czasem wskazuje drogę ślepemu koniowi dorożkarskiemu, który i tak sobie z tego nic nie robi, ciska się w tej chwili, jak w konwulsjach i jednem machnięciem dumnej pałeczki zatrzymuje Rolls Royca, a Packardowi każe jechać na prawo! Ha! Przeżyć jeden taki dzień i umrzeć. Tylko to źle, że świnia Rolls Royce wcale się nie zatrzymał, a małpa Packard pojechał w lewo. Dumny posterunkowy spojrzał jednak z pogardą, bo miał przed sobą jeszcze tysiąc kilkaset sztuk tego tałatajstwa.

IGNACY KOŁŁUPAJŁO

«DERBY» SAMOCHODOWE

Kornel Makuszyński w swoich uwagach tak znakomicie streścił przebieg i istotę wyścigu Tatrzańskiego, że pozostaje mi tylko suche streszczenie wyników technicznych dorocznego «derby» samochodowego. Spodziewany liczny udział kierowców zagranicznych ze względu na zaliczenie wyścigu do rozgrywek o mistrzostwo górskie Europy, zawiódł ilościowo. Jakościowo na cudzoziemców narzekać nie możemy, bo w obu konkurencjach międzynarodowych (w kategorjach: sportowej i wyścigowej) zajęli oni pierwsze miejsca.

Najsłabiej była obsadzona kategorja turystyczna: dwie Lancje i jeden Citroen. Zwyciężył krakowianin Chrząszcz na Lancji w czasie 7 min. 22 sek. Krzeczkowski na Citroenie przebył trasę w dobrym czasie, wszakże nie mógł dorównać Lancji, reprezentującej inną klasę.

Kategorja sportowa zgromadziła na starcie aż dziewięć maszyn. Zgodnie z przewidywaniami zwyciężył zawodnik

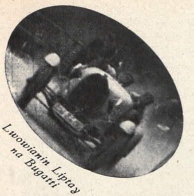


Trzej mistrzowie: inż. Henryk Liefeld, Hans von Stuck i Jan Ripper

czeski Schmidt na szybkoobrotowym, lekkim Amilcarze z kompresorem. Czas Schmidta — 6 min. 13 sekund na 6,5-kilometrowej trasie jest równocześnie rekordem dla kategorji. Drugie miejsce zajął zawodnik austrjacki Weinschenk na 6 cyl. Tatrze. O ułamek sekundy zaledwie gorszy czas zrobił krakowianin dr. Frühling na Bugatti. Znakomity wynik uzyskał popularny zawodnik czeski Vermirovski na czterocylindrowej Tatrze. W swojej klasie maszyn jest on stanowczo nie do pobicia.

Sensację wzbudził udział w wyścigu zawodniczki — pani Koźmianowej, która na swoim Austro-Daimlerze wykazała piękny styl jazdy i zajęła w ogólnej klasyfikacji dobre miejsce.

Osobna uwaga należy się startującemu w tej kategorji francuzowi Marechalle. Maszyna jego 8-cylindrowy Delage odpowiadała wszystkim kwalifikacjom samochodów turystycznych. Marechalle, nie należąc do żadnego z Automobilklubów polskich w kategorji turystycznej startować nie mógł i stanął do zawodów w kategorji sportowej. Pierwszą część trasy dzięki swej nie-



Lwowianin Liptay na Bugatti

pospolitej technice przebył on w czasie znakomitym, stracił natomiast szybkość na ostatnich kilometrach wskutek defektu świecy. Gdyby nie ten defekt, ciężki Delage byłby (wnosząc z czasów osiągniętych na treningach) groźnym rywalem lekkich sportowych maszyn.

W kategorji wyścigowej startowały tylko cztery maszyny — dwie Bugatti i dwa Austro-Daimlery. Jaś Ripper na swej 4-cylindrowej Bugatti pojechał z wielką brawurą, wydobył ze swej starej maszyny wszystko co się dało, pobił swój własny rekord z 1928 roku i osiągnął znacznie lepszy czas od Maurycego hr. Potockiego, startującego na 8-cylindrowej Bugatti.

Inż. Liefeld na Austro-Daimlerze przebył pierwszą część trasy w znakomitym czasie, za Wodogrzmotami jednak wskutek pożałowania godnej niesforności jednego z widzów uległ katastrofie. Kierowca wyszedł z tej opresji na szczęście cało, jednakże defekty maszyny nie pozwoliły mu na ponowny start. W ten sposób Liefeld utracił szanse do tytułu mistrza na rok 1930.

Zwycięstwo Hansa von Stuck było łatwe do przewidzenia. Znakomity kierowca, tytułowany «królem gór», obecnie już mistrz górski Europy, na swoim Austro-Daimlerze przebył trasę z szybkością przeciętną 83.372 klm/godz. Czas — 5 min. 23 sekundy, okazał się lepszy od nowego rekordu Rippera.

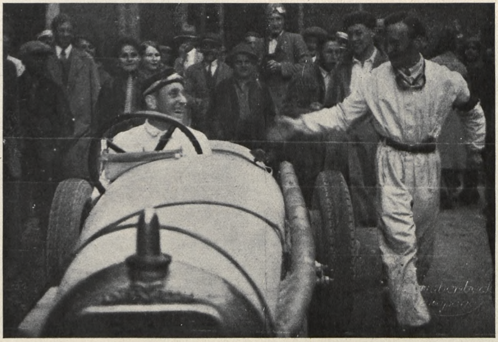


Jaś Ripper bije własny rekord

Krakowski Klub Automobilowy, umiejący organizować imprezy automobilowe, stanął i tym razem na wysokości zadania. Trasa w krótkim stosunkowo czasie została doprowadzona do stanu poprawnego, sam wyścig został przeprowadzony sprawnie i sprężyście.

W związku z wyścigiem Zakopane miało swój wielki dzień. Ze wszystkich dzielnic Polski zjechało do Zakopanego ponad tysiąc maszyn, przywożąc turystów żądnych ujrzenia ciekawego wyścigu na pięknej trasie.

Każdy, kto żyw, podążył tego dnia na Wantę, by naocznie obserwować szlachetną walkę o prymat Polski i Europy.



Po wyścigu: Jaś Ripper winszuje zwycięstwa Hansowi von Stuck

Zakopane tego dnia świeciło pustkami, najlepszym dowodem — bohaterski wyczyn Kornela Makuszyńskiego, który przejął się zapałem sportowym tak dalece, że porzucił partję nieustającego bridge'a w «Morskiem Oku», by fachowem okiem przyjrzeć się wyścigowi.

A ponieważ automobilizm jest niemniej od kart zaraźliwy, przypuszczalnie w roku przyszłym będziemy oglądali znakomitego pisarza w roli uczestnika wyścigu.

HANS VON STUCK?

Przez Krupówki mknął szybko piękny Austro-Daimler.

Posłuszny hamulcom samochód stanął jak wryty o kilka ledwie centymetrów od nieostrożnego przechodnia.

— Naucz się pan jeździć, albo jedź pan ostrożnie — rzucił przechodzień nieufnie spoglądając na kierowcę.

Przy kierownicy siedział Hans von Stuck de Villiez, posiadacz 120-stu rekordów automobilowych.

Na swym pięknym, przyziemnym kabriolecie przybył do Zakopanego na wyścig tatrzański.

Kto nie zna Hansa von Stucka i nie przeczuwa, kim być może ten smukły blondyn, na pozór spokojny, któremu jednak patrzy z oczu niebywały temperament, a z kieszonki zwisa stale czerwonawa sakiewka od tytoniu fajkowego, ten łatwo się tego domyśli z umieszczonych na kufrze automobilowym licznych nagród i odznaczeń. Nie są to medale z konkursów piękności, ale odznaczenia w krwawym pocie wywalczane i niejednokrotnie narażaniem życia opłacane.

Niechętnie naogół wspomina Stuck o swojem życiu i sukcesach przy kierownicy. Zwykł mawiać: «Nie lubię zasadniczo rozprawiać o rzeczach, w których w znacznej mierze decyduje współczynnik szczęścia. Jak dotąd uszłem z życiem i poza pęknięciem czaszki, zmiażdżonem kolanem, połamanemi żebrami i sztucznym łokciem czuję się wybornie. Już jako chłopiec paliłem się do jazdy automobilowej i właśnie przypominam sobie ciekawy epizod z mojej młodości. Kiedy w roku 1905 ja z moim ojcem zjeżdżaliśmy z góry na jednocylindrowym samochodzie wpadłem w taki strach, że krzyknąłem w przerażeniu «Teraz już po nas». Strach mój przyprawił o śmiech mego ojca, gdyż w istocie nie było mowy o jakiemkolwiek niebezpieczeństwie. Kiedy wiele lat później ojciec mój towarzyszył mi w trainingach w moim wozie wyścigowym, o wiele słuszniej mógłby pomyśleć «Teraz już po nas».

Przypadek zrządził, że stałem się wyścigowcem. W roku 1925 jadąc na swoim poczciwym 50-konnym Dürrkoppie na wyścigach w Baden-Baden zwyciężyłem łatwo w mojej klasie i od tego czasu pokochałem ten sport i już w $1/_2$ roku później zwyciężam w biegu górskim w Garmisch-Partenkirchen. Od tego czasu wszystko o mnie jest Panu zapewne wiado-

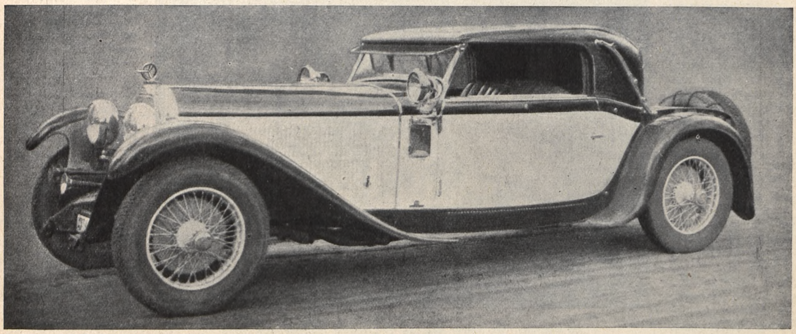
me. Żałuję mocno, że zeszłego roku, który był dla mnie nader pomyślny (zdobyłem 30 rekordów) wymknęło mi się przez mój nieszczęśliwy wypadek w Antibes, mistrzostwo świata. By je uzyskać należało mieć 24 punkty, ja zaś miałem tylko 23. Chiron, najbliższy po mnie uzyskał 21 punktów, tak że mistrzostwa świata nikt z nas nie otrzymał. Może mi się więcej poszczęści w roku 1930.

To przepowiedział mi zresztą jeden z boy'ów hotelowych w Monte-Carlo, gdzie spędziłem w zimie 2 miesiące, a trzeba panu wiedzieć, że ci chłopcy djabelnie się na tym sporcie rozumieją. Przed «Grand Prix», zwane przez nas «ludzkim totalizatorem», miewał ze mną długie na ten temat dyskusje. «Przy biegu górskim — mawiał — stawiam na pana jako zwycięzcę, monsieur Stuck, bo to pańska sztuka. Także w płaskim ma pan szanse, ale zależeć to będzie od wylosowania. Będzie pan na przedzie, to nikt nie ma prawa pana wyminąć, będzie pan w tyle, to trudną będzie pan miał przeprawę z Włochami. Na wszelki wypadek stawiam i w tym biegu na pana «po francusku», albowiem wiele przy tem nie ryzykuję. Na zwycięzcę przeznaczam Chirona i Dreyfussa. U pana mi się podoba, monsieur Stuck, fakt, że pan mimo swej sławy już o godz. 10-tej wieczór jest u siebie w pokoju. Ten tryb życia jest mojem zdaniem nieodzownym warunkiem powodzenia na wyścigach». Taką cieszę się opinją u tego malca...



Hans von Stuck, mistrz Europy w jeździe górskiej

Nie udało mi się więcej od pana Stucka wyciągnąć i na wszelkie indagacje wpół żartobliwie twierdzi, że inni więcej o nim wiedzą, niźli on sam i nieraz ogromnie jest ciekawy dowiedzieć się czegoś o sobie i wyłapać przy tej sposobności jakiś dobry «typ dla toto».



Piękny kabriolet Austro-Daimler Hansa von Stuck

WELL

MODA, KTÓRA NADCHODZI

Krótki pean na cześć Pani Mody i nowej sylwetki

Piękna jest Pani Moda, w swej nowej, coraz doskonalszej, coraz bardziej precyzyjnie pomyślanej szacie. Piękna i trudna do wprowadzenia w życie. Kapryśna, drgająca niezliczoną mnogością nieuchwytnych odchyleń, decydujących o tem, czy toaleta ma być arcydziełem wykwintu, czy bezładną elukubracją, amatorskim bełkotem na obcy, niezrozumiały temat.

Minęły wygodne (dla domorosłych krawcowych) lata, w których modną sylwetkę określało kilka charakterystycznych szczegółów, nadających jej niezawodne cachet ostatniego sezonu. Dziś, nie mamy jednej modnej sylwetki, lecz mamy ich kilkadziesiąt, może kilkaset, może jeszcze więcej... Mamy ich tyle, i tak różnorodnych, jak wiele jest różnorodnych typów piękna i powabu kobiecego.

Zresztą, obecnie żadnej pięknej pani nie wolno jest być monotonnie, jednakowo piękną przez dzień cały. Jeżeli chce sobie zasłużyć na miano kobiety prawdziwie wytwornej, musi być co godzinę inna, coraz inaczej, coraz niespodziewaniej ciekawa i ładna.

Każdy sport, każda pora dnia, ranny spacer czy popołudniowa wizyta, śniadanie, obiad, cocktail — party, bridge, premjera czy teatr w dzień powszedni, bal publiczny czy prywatny, przyjęcia u przyjaciół czy u siebie... każdy nastrój, każda niemal chwila wymaga innej linji i stwarza sposobność, jeżeli nie obowiązek — przebrania się.

Kosztowna jest taka moda, tak jest, moi panowie.

Trudno. Tak długo narzekaliście na brak kobiecej miękkości, kobiecego wdzięku i wogóle kobiecości u kobiet współczesnych... Macie więc wreszcie tę kobiecość, nadmiar kobiecości... To kosztuje, to musi kosztować.

Tylko tyle wam powiem na pociechę, że taka jedna kobieta coraz inaczej strojna, raz sportsmenka spowita w jersey'e i tweed'y, kiedyindziej dystyngowana lady w nieposzlakowanej czerni popołudniowo-wizytowej toalety, rozkoszny, różowo-nosy kociak otulony w puszyste futerka, pół hurysa, pół cowboy — w fantazyjnej pyjamie, westalka, w śnieżnej bieli draperji á l'antique, kobieta-wąż, w lśniących oplotach, obcisłego fourreau z metalizującego brokatu, to znów cokolwiek zmanierowana dama 1830 r., w sztywnych falbankach taftowej krynoliny.... taka jedna kobieta zdolna jest zachwycać i irytować, upajać i dręczyć, niczem cały harem.

No, a zawsze cokolwiek taniej kosztuje.

U BOGUSŁAWA HERSEGO.

Jesienna rewja u Hersego cieszy się powodzeniem, którego mogą pozazdrościć kierownicy teatrów najbardziej wziętych. Zaproszenia, rozdawane oględnie i oszczędnie, nieraz bywały już przyczyną krwawego rozdźwięku między najserdeczniejszemi przyjaciółkami, ba, nawet siostrami. Bowiem: — Kochajmy się jak siostry, a... zaproszeniem na pokaz u Hersego nie możemy się podzielić, na karcie «stoi wypisane jak wół»: — ściśle osobiste.

Strojny, pachnący perfumami Chanel quatre i Herse, tłum szczęśliwych wybranek, wyczekuje gorączkowo. Pierwsze sylwetki smukłych, żywych manekinów, ukazujące się na tle improwizowanej sceny — wita westchnienie ulgi. Nareszcie coś pewnego, wiadomego, określonego... Z mgławicy chaosu, luźnych domysłów, niedosłyszanych ech, niesprawdzonych wersji, wyłania się konkretna, w postaci ślicznych dziewcząt zaklęta — wieść o nowej modzie.

Wieść głosi: na rano będziemy po dawnemu nosiły suknie sportowe z przeróżnych, coraz to nowych odmian wełny i tweed'u. Po południu — suknie z miękkiej wełny, lub jedwabi błyszczących i matowych, o barwach dyskretnych, dystyngowanie ciemnych. Suknie przed i popołudniowe niezbyt długie, dochodzące do połowy łydki, znacznie zatem dłuższe od zeszłorocznych.

Stan krótki. Biodra opięte. Lekkie, nisko zaczynające się klosze, lub linja prosta, urozmaicona przez fałdy i plisowania (dawno niewidziane). Przybrania dyskretne i delikatne. Kołnierze i mankiety z pajęczych koronek.

Niektóre z toalet wieczorowych sięgają ziemi, inne dochodzą do kostek. Wszystkie mają doły równe, miękko falujące. Żadnej asymetrji w cyrklu. Przeważają modele o wysmuklającym kroju princesse. Dekolty są głębokie, o formie urozmaiconej.

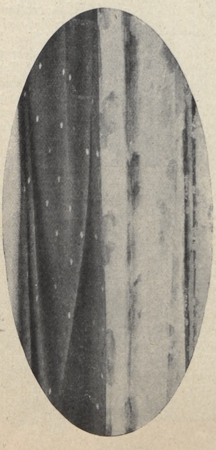
Na suknie wieczorowe używa się lekkich chifon'ów, jedwabnych koronek, wszelkich od-



Pięknie sharmonizowana suknia wieczorowa



Stylowa toaleta balowa



mian żorżety, jak: crêpe Romain i crêpe Bilitis, velour'ów we wszystkich odmianach.

Toalety balowe robi się z przepysznych brokatów i lamy, cokolwiek w ubiegłym sezonie zimowym zaniedbanych. Niejedna z sukien wieczorowych została zaopatrzona w bolero lub w krótki żakiecik, z tego samego co suknia materjału. Taki żakiecik ma oczywiście zawsze rękawy. Długie lub półdługie, bardzo nieraz fantazyjne. Powstaje miły praktyczny typ sukni «bridge'owej» o popołudniowo-wieczorowym użytku.

Hafty, zwłaszcza błyszczące, będące ostatnio na zupełnym indeksie Pani Mody, znowu ukazują się na modnym horyzoncie. Spotykamy je obecnie zarówno na toaletach wieczorowych, jak i popołudniowych. Na niektórych kreacjach wieczorowych lśnią dawno niewidziane dżety.

Wśród kolorów wciąż króluje czarny, bezkonkurencyjnie i niezmiennie. Po nim walczą o władzę wszystkie odcienie bronzu, od najciemniejszych, poprzez rdzawy i bordo, aż do najjaśniejszych tonów grège. Cała gamma nowych zielonych tonów, zwana vert Patou. Pozatem dyskretne tony popielate, bleu i biały.

Kolory jaśniejsze i czystsze w tonie dopuszczalne są jedynie wieczorem. Przed i po południu mamy wyglądać dystyngowanie i ciemno.

Suną śliczne żywe manekiny swym tanecznym krokiem, bezszelestnie, wróżki z bajek dla dorosłych i przerosłych dziewczynek. Słabnie ręka, notująca gorączkowo w karnecie wszystkie oglądane cudności. Męczy się oko, chłonące chciwie linje i barwy. Jak tu spamiętać i opisać przedziwny krój tej żorżety lila, inkrustowanej koronką kremową, opinającej ciasno biodra, a falującej w dole niezliczoną mnogością godetów. Albo ta, oryginalna toaleta z czarnej tafty, układana z kloszowych falban, inspirowana zda się przez któryś z portretów Winterhaltera, nadwornego portrecisty cesarzowej Eugenji. Łatwiejsza w noszeniu, gdyż nie wymagająca tak królewskiej postawy, ani stylowej głowy, będzie niewątpliwie ta sukienka z koronki beżowej, inkrustowanej żorżetą. Kompletuje ją wdzięcznie krótki koronkowy kubraczek z rękawami do łokcia.

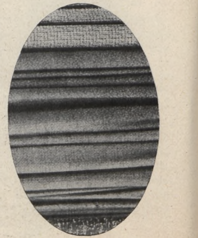


Suknia wizytowa. Model Patou, Paryż.

Ach, móc zarysować śmiały, zupełnie nowy (inédit) krój, wyciętego w fantazyjne zęby, karczka, przy tej czarnej wieczorowej toalecie z połyskliwego satin. W dole rozchodzą się sute plisowania «soleil». Na ramieniu kusząco rozkwita purpurowa róża.

Popołudniowa suknia z czarnej żorżety, wypracowana w drobniuchne zakładeczki, sięgające kolan, dalej falbany kloszowe. Kołnierz i mankiety z blado-różowego chiffon. I jeszcze toaleta z czarnego chiffon, tajemnym kunsztem zaczarowanego w węże, spływającego od bioder do dołu. Zdobią ją róże.

I jeszcze wiele, bardzo wiele sukien pięknych i oryginalnych, których nie opisze pióro i nie spamięta oko. Lecz największą niewątpliwie sensacją pokazu u B. Hersego nie są te wszystkie wspaniałości, lecz radosna zapowiedź wprowadzenia nowego działu tanich rzeczy. Sukien i okryć po standaryzowanej cenie. Hersowski krój w sukience za dziewięćdziesiąt pięć złotych!... Co za radość dla tych, które dotąd mogły jedynie platonicznie zachwycać się niedostępnym cudem szatek, wystawionych w olśniewających witrynach.



U B. MYSZKOROWSKIEGO.

Wszystkie kreacje przepuszczone przez krytyczną soczewkę zawodowego oka p. Boguchwała Myszkorowskiego, cechuje niezawodny smak i zupełna gwarancja, iż nie są to efemerydy, poronione pomysły zrodzone przedwcześnie z kaprysu jakiejś kabaretowej gwiazdki o smaku bardziej hałaśliwym niż wybrednym. Wszystkie modele Myszkorowskiego są dystyngowane, nie opatrują się i długo nie wychodzą z mody. Tak głosi powszechna opinja. Vox populi-vox Dei.

Na samym wstępie pokazu sensacja: wskrzeszenie trykotu jako modnej tkaniny. Po szeregu sezonów zupełnej niełaski, trykot zmartwychwstaje w nowej, odmłodzonej postaci, zwarty, mięsisty, czasem cokolwiek sztywny i szorstki, jakby ze sznurka utkany. W kolekcji Myszkorowskiego oglądałam całą serję sukien spacerowo-sportowych zupełnie nowego typu, wykonanych z rozmaitych odmian owych modnych jersey'ów i jersey-tweed'ów.

Wszystkie były równe i raczej krótkie. Jakieś trzydzieści centymetrów od ziemi. Układane w głębokie, proste fałdy. Wypracowane w drobniuchne zakładeczki. Nieprawdopodobnie precyzyjne w szczegółach — doskonale harmonijne i proste w efekcie. Pierwsza z tych sukien nosiła symboliczną nazwę: «Przebudzenie». Cała czarna, ma-

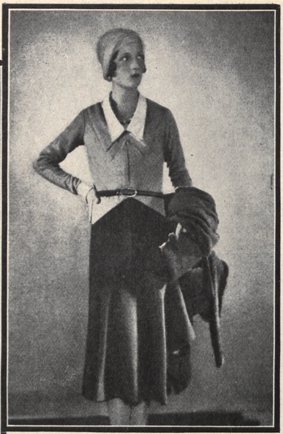




Prawdziwym ewenementem jesiennego sezonu są piękne kreacje Boguchwała Myszkorowskiego *fot. Dctys*



Komplet z tweed'u. Model: „Ludwika"



Efektowna suknia spacerowa

plastronu z crêpe Romain. Rzeczywiście wdzięczna była robe à transformation nosząca miano «Wdzięcznej», dająca się układać i wiązać w najrozmaitsze sposoby: pasek dający się dowolnie zapinać z tyłu lub przodu, długa zwisająca do tyłu pelerynka, na żądanie zmienia się w drapowany kołnierz, zapinany z przodu. «Sympatja» deux pieces z czarnego marocain, noszony ze srebrzystą łuszczką z satin poret, zdobyła sobie sympatję publiczności, niczem liryczna amantka w roli skrzywdzonej niewinności. «Ulubiona», była to kunsztowna mozaika misternie pozostawianych pasów czarnej jedwabnej tkaniny pociętej w rozmaitych kierunkach.

Cały jednak urok i pointe'y «Ulubionej» stanowiły kołnierzyk i mankieciki, dzieło artystycznych rąk i benedyktyńskiej cierpliwości, wyrzeźbione z wąziuchnych ruloników jasnej żorżety.

Przyszła kolej na szaty wieczorowe. Tu obok dystyngowanej i panującej, niemal niepodzielnie, po południu czerni, zakwitły barwy jasne. Śliczna «Carmen» olśniewała ciemną, soczystą czerwienią jedwabnej koronki. Od ramion opadała falisto, długa rozcięta pelerynka. Coś nakształt płaszcza hiszpańskiego, lub skrzydeł motylich. Bardzo oryginalna toaleta «Fala» z rdzawej żorżety, pozornie skromna, od góry wymarszczona w poprzeczne «Wody», rozpływała się w dole falą o szerokości zatrważającej dla niejednego budżetu.

Wreszcie: wspaniała balowa toaleta z brokatu mieniącego się srebrem, czernią i stalą, centkowanego, jakby był zasypany srebrnemi cekinami.



Jeden z licznych modeli kostjumów sportowych, kreowanych przez salon mody „Ludwika"

towa, rozjaśniona bielą fantazyjnego gronostajowego kołnierzyka i mankietów. Ciemno-zielony był «Raid» zdobny siecią drobniuchnych zakładeczek, spięty paskiem o stalowej klamrze. Szorstka i ostra wełna w tonie zgniło-zielonym, z której był wykonany model «Piccolo», kontrastowała ze zwiewną subtelnością, wypracowanej w riuszki muślinowej kamizeleczki i mankietów. Brunatno-rdzawa «Rakieta», z jersey-tweed'u była zaopatrzona, w wygodne, głębokie kieszenie na wysokości rąk. Zdobił ją czarny, lakierowany pasek i wyłogi z czarnego aksamitu.

Same nazwy sukien popołudniowych budziły mgliste pragnienia i wzniecały pokusy nieodparte. «Kusicielka» z czarnego marocain, miała na biodrach długi karczek ułożony z trójkątnych płatków tkaniny. Bajecznie efektowny czarny «Uśmiech» miał asymetryczne bolero i boczną draperję podbite jedwabiem białym i fantazyjne rękawy, od dołu do łokcia zahaftowane sutażem. Miły «Djabełek» wdzięczył się wesoło szerokiem pąsowem obrzeżeniem białego kołnierza —



P. Janina Romanówna, artystka teatru Polskiego, w wykwintnych pantofelkach L. Leszczyńskiego

OBUWIE.

A więc pantofelki, gdyż nie może być mowy o prawdziwej elegancji, bez stosownego obuwia. Na rano obcas jaknajniższy, podeszwa jaknajgrubsza, rantowana. Bronzowy box calf, może być inkrustacja z jaszczurki czy krokodyla. Pół bucik lub otwarty pantofel zapina szeroki rzemyczek. Charakter très sport. Na popołudnie obcasik francuski, nie za wysoki. Moljerki. Przy czarnym reniferze lub granatowej giemzie, klamry stalowe. Czółenka czarne z białą inkrustacją. Pończoszki ciemne, tourtefelle lub dymione. Wieczorem atłas, brokat, skórki złocone lub srebrzone i strass'y, mnóstwo strassów na klamerkach i kunsztownych obcasikach.

Przy ensemble'u sportowym szalik z tweed'u lub jersey tweed'u, dobrany do kapelusza. Popołudniu, o ile nie mamy futrzanego krawatu, szalik trójkolorowy z podwójnie złożonej żorżety.

Torba na rano duża płaska. Czarny lakier, glansowana skóra lub tweed do kompletu. Popołudniu ciemny zamsz z monogramem lub florenckie złocenia. Wieczorem torebka z tej samej żorżety, lub tegoż brokatu co suknia. Nie zawadzi też mieć jedną torebkę en tou cas z «prawdziwego rekina», chociażby dlatego tylko, że to tak strasznie zabawnie brzmi.

Popołudniu nosi się rękawiczki z wysokiemi, muszkieterskiemi mankietami. Wieczorem gładkie, czarne lub białe, długie za łokcie.





Fragment pięknego wnętrza salonu obuwia L. Leszczyńskiego, przy ul. Nowy Świat 34

FUTRA.

Futra, jaknajwięcej futer. Przedewszystkiem całe płaszcze futrzane na późną jesień i zimę. Karakuły czarne, bronzowe i siwe. Foki i ich imitacje. Z tańszych futer zawsze estetyczne i praktyczne — źrebaki czarne i bronzowe. Okrycia z tweed'u burasport i innych modnych tkanin muszą mieć ogromne kołnierze i fantastycznie zachodzące na łokcie mankiety z futra. Krój wszelkich okryć uległ zasadniczej zmianie. Żadnych pasków. Linja wcięta w stanie, leciutko falująca w dole. O szyku decyduje miękkie przerzucenie przedniego brytu. Zapięcia nie powinno być wcale. Falujące futro lub tkanina muszą się układać same, przytrzymywane wprawną ręką. Dopuszczalny jest kompromis w postaci jednego, dużego guzika. Do sukien popołudniowych nosi się malutkie okrągłe mufeczki i szaliki z gronostai lub breitszwantz'ów. Niektórzy kuśnierze usiłują wskrzesić płaską kwadratową mufkę i etolę-pelerynkę z doby przedwojennej. Jest to posunięcie śmiałe, gdyż nic nie wygląda tak niemodnie jak coś co niedawno wyszło z mody.



Zula Pogorzelska, artystka teatru „Morskie Oko", w wytwornem futrze.
Model: S. Karmazyn, Miodowa 20 i Marszałkowska 138

WELL

PAN BOGUSŁAW HERSE MÓWI...

Patrycjuszowskie oblicze Nestora naszego handlu, wygląda imponująco na tle stylowego fotela.

— Słyszeliśmy sensacyjną wiadomość o wprowadzeniu taniego działu w pańskiej firmie...

Uprzejmy uśmiech, potakujące skinienie głowy.

— Tak jest. Musieliśmy wziąć pod uwagę obecne konjunktury gospodarcze i potrzeby kulturalne szerokiego ogółu, zapragnęliśmy uprzystępnić jaknajszerszym warstwom dobry krój i solidny materjał. Dać sferom pracującym towar tani, któryby w najlżejszej mierze nie trącił tandetą. Ogólny spadek surowców na rynku wszechświatowym ułatwił nam, do pewnego stopnia zadanie.

— Czy spadek ten odbije się na cenach modeli z głównego salonu! — zapytuję, ożywiona nagłą nadzieją.

— I to także, oczywiście w nieznacznej mierze. Dział ten jest prodadzony u nas w najściślejszym kontakcie z wielkiemi domami mody w Paryżu i, pochlebiam sobie, na poziomie nie ustępującym żadnej z największych firm paryskich. Moda ostatniej doby pochłania zatrważającą ilość materjału, więc nawet po obniżeniu jego ceny, model nie może się kalkulować o wiele taniej. Zresztą wybredna klijentela naszego wielkiego salonu nie żąda od nas niskich cen, tylko doskonałości linji oraz nowości, oryginalności, słowem tego co się w Paryżu nazywa: l'inedit.

— A w dziale rzeczy tanich?

— A w dziale rzeczy tanich stwarzamy typ sukni standaryzowanej.

Nie co do kroju, oczywiście, lecz co do cen. W granicach dziewięćdziesięciu pięciu złotych, klijentka ma wybór kilkudziesięciu modnych fasonów, uszytych z dobrej łódzkiej, czy bielskiej wełny. Potem idą suknie za złotych sto dwadzieścia. W cenie złotych stu czterdziestu może już być suknia jedwabna. Ceny okryć zostały również standaryzowane. To samo wprowadzamy w dziale paryskim.

— Zapewne muszą państwo mieć do tego tańszy personel krawiecki.

— Bynajmniej. Wszystkie nasze suknie i okrycia są wytworem tych samych rąk, świetnie wykwalifikowanych fachowców. Stara tradycja naszej firmy nie pozwala na wypuszczenie z naszego magazynu rzeczy wadliwie skrojonej, lub nie dość precyzyjnie uszytej. Najskromniejsza sukienka od nas musi mieć owe nie dające się naśladować cachet, jakie nadaje krój pierwszorzędny. Ścisła kalkulacja, czas, szybki, obrót pozwalają nam kontentować się minimalnym zyskiem. Podczas gdy luksusowe modele z wielkiego salonu, wymagają większych wkładów gotówki, która



Futra krecie wciąż są modne
Model firmy H. Scholl, Marszałkowska 124.

w nich bywa nieraz uwięziona przez czas dłuż=szy.

— Słyszałem również o wprowadzonym przez państwa dziale tanich futer.

— A jakże. Będziemy mieli żrebaki od dziewięciuset do tysiąca złotych. Foki=piżmowce w cenie dwóch tysięcy dwustu. Wszystkie w pierwszorzędnym gatunku i wykona=niu. Zechce się pani sama przekonać.

Po chwili oglądam futra tak wykwintne, tak prześlicznie układające się na figurze, doskonale miękką linją, w myśl najostatniejszych nakazów mody, że nie mogę wprost uwie=rzyć że są to modele seryjne, a nie luksusowe kreacje in=dywidualne.

— Doprawdy, robią pań=stwo dobry uczynek, dając masom ludzi pracujących moż=ność poprawnego ubrania się w przystępnej cenie.

— Amerykanie twierdzą, iż dobre uczynki są najlepszy=mi interesami — odpowiada p. Herse, uśmiechajac się pod szpakowatym wąsem.







Kapelusze w bieżącym sezonie nie są ujęte w konkretną formułkę. Równie modne są kapelusze o dużych rondach, jak i zupełnie obcisłe...



Kapelusze mają fantazyjnie wygięte ronda...

KAPELUSZE.

A kapelusz nosi się obecnie, bardziej niż kiedykolwiek z czoła. Zupełnie odsłaniając twarz i dużo, bardzo dużo włosów. Najwięcej nosi się kapeluszy czarnych aksamitnych. Fasony duże i małe wywalczyły sobie równorzędne prawo obywatelstwa. Duże mają fantazyjnie wygięte ronda, ocieniające twarz z jednego boku, odsłaniające drugi policzek i zawsze całe czoło. Małe, płyciuteńkie główki związuje się w miękką kokardę. Mniejsze kapelusze są suto drapowane i również często zdają się zebrane w kokardę, która opada na szyję. Są wreszcie i bielutkie kapelusiki z velour'u i satin, w kształcie chusteczek ciasno opasujących głowę i związane w tyle głowy w dwa sterczące rogi. Noszą się modne fantazyjki do bardzo strojnych toalet popołudniowych i restauracyjnych.

Do sukien i kompletów z tweed'u i jersey tweed'u nosi się turbany i berety z tych samych materjałów. Wielki Rodier kreuje specjalne tkaniny na suknie i okrycia, szaliki i kapelusze. Deseń powtarza się ten sam, jest jednak różnica w grubości tkaniny i rozmiarach ornamentu.

Filce bynajmniej nie wyszły z mody, lecz straciły berło jednowładztwa i zmuszone są do dzielenia powodzenia z aksamitem, mięsistym, błyszczącym jedwabiem i wzorzystemi, miękkiemi wełnami.

«WSZYSCYŚMY TACY SAMI»,

komedja w 3-ch aktach Fryderyka Lonsdale'a w teatrze Letnim. Reżyserował Paweł Owerłło.

Znów krotochwila angielska. Oczywiście moralna, bo wszystkie krotochwile angielskie są moralne. Nie pozbawiona dowcipu i oparta na samych dobrych rolach. *Wszyscyśmy tacy sami* ma znaczyć, że wszyscyśmy tacy sami wobec pocałunku, to znaczy, że wszyscybyśmy się radzi zgodzić na pocałunek z ładną kobietą i — naodwrót — z ładnym chłopcem. Ale że należy się tego wystrzegać. Bo skutki opłakane po przyjemności bądź co bądź przemijającej.

Obsada tej błahostki bardzo interesująca: pp. Irena Solska-Grosserowa, Paweł Owerłło, Jadwiga Smosarska, Chaveau, Orwid, Lenczewski. Ładne toalety, dobrze skrojone fraki...



Paweł Owerłło



J. Smosarska i L. Łuszczewski



Piękny kapelusz prezentowany przez p. Olę Karwowską Model firmy Magnqué

PYJAMA (ciąg dalszy).

tańczyła ze swoim flirtem. Pan Leon czuł się tu wogóle nieswojo. Szampitra byłby, ostatecznie, przebolał. Ale młody Campostello - Los Dryblasos działał mu na nerwy. To jest do niczego niepodobne. Do niczego! Fela się z nim poprostu afiszuje!

Kiedy nad ranem wrócili do domu, zagadnął swoją przyjaciółkę prosto z mostu:

— Fela?

— Co?

— Ty mnie chcesz, jak to mówią, przyprawić rogi?

Fela buchnęła śmiechem. Spytała go nonszalancko:

— A gdyby?

Na to pan Leon skrzywił się, jakgdyby mu octu nalano, podrapał się w nos i narazie nic nie odpowiedział. Ale, znalazłszy się już w łóżku, pod pyszną kołdrą (bagatela! Za pokój płacił 350 franków dziennie!) powiedział dobitnie:

— Ja ciebie ostrzegam, że ja się w takie gry nie bawię.

Piękność z placu Napoleona zlekceważyła to ostrzeżenie. Gwizdnęła na pana Leona i pojechała nazajutrz do Chambre d'Amour, spotkać się ze swoim hiszpańskim Dryblasem. Bawiła się świetnie. Po powrocie spotkała ją jednak przykra niespodzianka. Pana Leona Bibera już w apartamencie poprzednio zajmowanym nie zastała. Ulotnił się. Na pociechę zostawił jej kopertę z tysiącem franków i przypiskiem:

«Jak Ty, świnią nie jestem. Zostawiam Ci to na powrót III-cią klasą do Warszawy. Rachunek hotelowy masz do jutra zapłacony. Adieu!»

(Dok. na str. 35).



Wytwarzane całkowicie w kraju przez generalnego zastępcę, firmę Z. BOCHNER i S-ka, Dziedzice.

«KAWALER – PAPA»,

komedja w 7 odsłonach Childs Carpentera w teatrze Polskim. Reżyserja Aleksandra Węgierki, dekoracje Śliwińskiego



Scena aktu II: K. Junosza-Stępowski, J. Romanówna, K. Lubieńska i T. Wesołowski

Fot. St. Brzozowski

Janina Romanówna

Kawaler - Papa Edwarda Childs Carpentera jest to teatr bez żadnej ukrytej myśli, jest to widowisko bardzo urozmaicone ku zabawie szanownej publiczności, lubiącej niespodzianki, zmianę dekoracji, żart, śmiech i nieszkodliwe od czasu do czasu z maleńką nawet łezką w oku, poczciwe wzruszenie. Dowcip jakim operuje autor jest niewybredny, ale odbija się szerokim echem od pierwszego rzędu do najwyższej galerji. Paradoksy pana Edwarda Childs Carpentera zatrącają nieco w ordynarności i nie mają nic wspólnego z głębią filozoficzną czy z tkliwością serdeczną. Treść przedstawienia jest taka: Magnat angielski, arystokrata, baron, sir Basil Winterton, stary kawaler, mężczyzna sześćdziesięciokilkoletni, sybaryta, epikurejczyk, miłośnik płci słabej, w godzinie starczej nudy poleca swojemu radcy prawnemu, aby odszukał jego, sira Wintertona, dzieci nielegalne i przywiózł je do letniej rezydencji ich nielegalnego ojca. Dawniej temat dzieci nieprawnych podejmowano piórem napółzażenowanem i drżącem od sentymentalizmu. Przypomnijmy sobie niedawno grane co w teatrze Narodowym *Majstra i czeladnika* Korzeniowskiego (popis nieporównanej p. Mieczysławy Ćwiklińskiej). Dzisiaj synowie naturalni ani myślą być mścicielami swej rzekomej hańby na bezserdecznym ojcu naturalnym, a córki naturalne wybornie wychodzą zamąż i nikt im z ich naturalności nie robi zarzutu. Koncepcja sceniczna wielkobrytyjskiego dramaturga jest do tego stopnia wesoła, że aż chwilami wpada w rozhukanie. Dwie panny i jeden młodzieniec, dorodne owoce kawalerskiej bujności nieulegalizowanego temperamentu sir Wintertona zaczynają od tego, że po obejrzeniu magnackiej jego rezydencji, poddają dwutygodniowemu egzaminowi odnalezionego papę. Łatwo pojąć, że jeżeli dwie naturalne córy są interpretowane przez artystki tak pełne osobistego indywidualnego wdzięku, jak panie Janina Romanówna i Karolina Lubieńska, a młodzieniec otrzymał w teatrze dyr. Szyfmana osobistą urodę pana Wesołowskiego, to scena musi tętnić młodością, nawet gdy z punktu widzenia sztuki aktorskiej wykonanie niektórych postaci nie było bezbłędne.

P. Junosza-Stępowski gra rolę tytułową. Trudno o grzesznika bardziej czarownego mimo jego srebrny włos i zetetryczenie, niż sir Basil pana Stępowskiego. Czem była jego grzeszna przeszłość, ile miała powabu, wymownie świadczą dwie naturalne matki jego naturalnych dzieci, panie Marja Mokrzycka i Helena Sulima. Gdy Opera miejska się rozprzęga, dyr. Szyfman organizuje swoje sceny dramatyczne pod względem wokalnym. Obraz włoski jest w *Kawalerze - Papie* najefektowniejszy, bo p. Mokrzycka ozdabia go swoim słowiczym głosem.

P. Aleksander Węgierko nadał przedstawieniu wibrację tego, co jest nieodparte, a co się nazywa gorącym dreszczem młodości, a p. Śliwiński skomponował pomysłowe dekoracje. Dlatego w teatrze Polskim co wieczór jest pełno.



Fot. Willinger, Wiedeń

Ale wszystkie najlepsze kosmetyki
są Dr. Lustra i ja osobiście tylko
tych używam — są poprostu cudowne.

Hanka Ordonówna



OAZA

Przesadą trąci twierdzenie, jakoby Amanullah dlatego stracił tron, że nigdy nie był w warszawskiej «Oazie»: do takich finezyj Afganistan jeszcze nie doszedł. Ale jednak zacytować inny incydent wypada. Pewien anglik, któremu na Dworcu Głównym skradziono pugilares, a na placu Bankowym sprzedano fałszywy brylant, w Oazie dopiero, po znakomitej kolacji, odzyskując równowagę ducha, zażądał księgi pamiątkowej i wpisał do niej: «Jestem zachwycony!». W tych rzeczach anglicy nie żartują. Jeżeli taki pan pisze, że jest zachwycony, to jest naprawdę zachwycony.



«Oaza» znajduje się, jak wszyscy wiedzą, na placu Teatralnym. Dom, w którym działa, rozwija się i kwitnie ta instytucja, będzie niewątpliwie uznany z czasem za zabytkowy. Starzy panowie będą mówili z głębokiem wzruszeniem: «Ach, to tutaj, przed laty, w górnej sali, występowała ta cudowna hiszpanka, która tak zbawiennie wpłynęła na moją sklerozę!». A stare panie będą mówiły: «Nasi wojskowi nie mieli jeszcze, w owych czasach, mundurów galowych — ale jakże rozkosznie tańczyło się tango w «Oazie», z porucznikiem X.!».

Czemuż to przypisać, że urok «Oazy», tylokrotnie chwalonej przez najwybredniejszych «zagraniczników», tak mocno działa? Hm... Składa się na to kilka przyczyn. Po pierwsze, jest to rzeczywiście zakład gastronomiczny pierwszej klasy. Sandacz na białem winie, czy kuropatwa ze słoninką, spożyte w «Oazie», dają człowiekowi pogląd helleński, łechcą w nim gruczoły altruizmu, godzą go z antagonistami politycznymi, ba! — nawet z wierzycielami... Następnie, jest sala górna, i przemiły, bezpretensjonalny bar, w którym nawet urzędnik państwowy, a więc człowiek, z góry skazany na poczwórną abstynencję, może siedzieć przyjemnie całą noc, ciągnąc przez słomkę wyborny cocktail, patrząc na ładne kobiety, i tańcząc, kiedy mu przyjdzie fantazja, albo chrupiąc palone migdałki, do woli... Wszystko za bardzo małe pieniądze... Jest wreszcie program «Oazy», który, rzecz prosta, raz się udaje lepiej, raz gorzej, który jednakowoż zawsze utrzymuje się w granicach dobrego smaku, a czasami staje się dwutygodniową sensacją Warszawy.



I to wszystko bez karoty, bez tak często stosowanej w pokrewnych zagranicznych lokalach, spekulacji na ludzkim snobizmie. W «Oazie» można wydać, to prawda, dużo pieniędzy. Ale dużo pieniędzy można wydać u nas także w bylejakiej knajpie, jedząc złe potrawy z wyszczerbionych talerzy. Jest to kwestja zasad i temperamentu. Kto się liczy z groszem, komu ciotka nie zostawiła spadku, albo kto nie wygrał kamienicy w pokera — ten się może też bawić znakomicie w «Oazie», czując się przy swoim stoliku, jak u siebie w domu.

Jedną ma tylko dużą wadę ten lokal, ogromną wadę, i na to niema podobno żadnego lekarstwa.

— Jaką wadę?

W «Oazie» bywa za dużo ładnych kobiet, i to stanowi dla osób cierpiących na zawroty głowy, pewne niebezpieczeństwo.

Niestety! Główna Centrala Eugeniki, zainterpelowana w tej kwestji, odpowiedziała, że niema najmniejszych szans, aby w najbliższych stuleciach rasa polek popadła w dekadencję!.



Wnętrze dolnej sali „Oazy", dekorowane przez prof. Wincentego Drabika, godnie reprezentuje stolicę w oczach licznych cudzoziemców — stałych bywalców tego wytwornego lokalu

Fot. J. Malarski



Najmodniejsze uczesanie według wzoru „Ewaryst", Warszawa.

KOMPOZYTORZY PERFUM

Historja kompozytorów zapachów jest długa i ciekawa. Ciągnie się ona od des Esseintes, twórcy zapachów z zamiłowania, romantycznej figury Huysmansa do księcia Machiabelli znanego ze swych kreacji w Nowym Yorku. Dziś stwarza się perfumy seryjne, a dla wybranych elegantek kreuje się kompozycję «na zamówienie». Książe Machiabelli przyjmuje od wytwornej pani z U. S. A. obstalunki «na miarę», z prawem wyłączności.

Perfuma musi zasadniczo odpowiadać nastrojowi i jest uzależniona od pory dnia i roku. Ta okoliczność stwarza potrzebę licznych kreacji, do czego dzisiejszy przemysł perfumeryjny stara się przystosować.

Niebezpiecznymi konkurentami chemików perfumeryjnych są obecnie mistrzowie mody damskiej, którzy wychodzą z założenia, że toaleta i perfuma wzajemnie uzupełniają się i tworzą całość niepodzielną.

Dyktatorzy mody dyktują i perfumy nazywając je stosownie do zasad, wyznawanych przez nich w perfumerji.

Król mody paryskiej, Jean Patou, doskonały znawca kobiet stwarza perfumę «Le sien», przeznaczając ją dla pory dziennej, jako odpowiadającej dla kostjumu sportowego. Perfuma wieczoru nosi potężną nazwę «Amour-Amour» — jakoby eliksir miłości, podniesiony do kwadratu. Worth daje perfumom nazwy bardziej trzeźwe, anglo-saskie... «Vers le jour» i «dans la nuit», tę ostatnią prezentując w ciemno błękitnym kulistym flakonie. Kolekcję Wortha uzupełnia perfuma nosząca nazwę «Sans adieu» (bez pożegnania), która ma złagodzić ostatni akt miłosnej tragedji, gdy «on» bezpowrotnie znika. Chanel początkowo numeruje zapachy, widząc jednakże, że napisy pociągają, obdarza je mianem egzotycznem jak «Bois des Iles», «Sykamore» itp. Są one sporządzane z ekstraktu podzwrotnikowych drzew, o czem zresztą przypomina wykwintne opakowanie z drzewa południowego. Lucien Lelong, szczęśliwy małżonek rosyjskiej księżniczki nazywa swe kreacje literą pierwszą imienia swej arystokratycznej pani «N» od Natascha. Ale już kreując następną i dając jej nazwę «C» stwarza pole dla domysłów. Najwygodniej postępuje Coty. Stwarza całkiem poprostu dla każdego typu kobiet, od zimnej blondynki do egzotycznej Salome specjalne gatunki perfum. Cechy uniwersalności nosi perfuma «l'Aimant» (magnes) będącą w służbie u wszystkich bez wyjątku kobiet.

Zasady przyzwoitości skłaniają do pewnego ograniczenia w używaniu perfum. Pracująca kobieta nie ma innego wyboru, jak woda kolońska lub dear old Lawender, pozostawiając oszałamiające zapachy jak «Mystikum» i «Intermezzo» na czas wolny od powszedniości.





Bogato zaopatrzony w kosmetyki i perfumy salon „Ewarysta", jest nieodpartą przynętą dla pięknych pań.





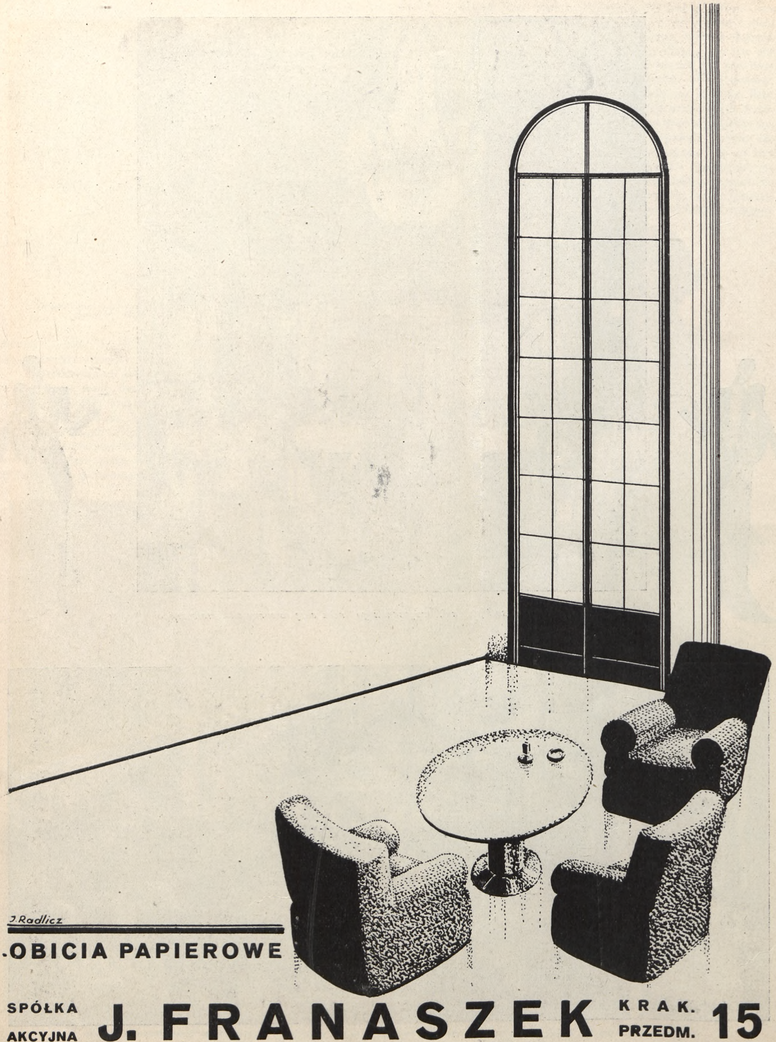


Fragment dancingu w sali głównej, uczęszczanego przez elitę towarzystwa stołecznego



Bar „Oaza", zawsze zasobny w przednie wina i coctaile

Fot. Malarski


J. Radlicz
OBICIA PAPIEROWE
SPÓŁKA AKCYJNA
J. FRANASZEK
KRAK. PRZEDM. 15



Jakże wytwornie wygląda rękawiczka z żółtej gemzy, na grzbiecie której wiją się wąskie kosmyki skóry.

Pięknem uzupełnieniem futra są białe rękawiczki o wydłużonych mankietach, strojnych w błękitne i czerwone paseczki, ponadto złotem lub srebrem inkrustowane. Inowacją w modzie są rękawiczki białe, krótkie, obrzeżone czerwonemi, granatowemi lub zielonemi kamyczkami na kształt błyszczących, skrzepłych kropli.

Wieczór jeszcze śmielsze stawia wymagania. Rękawiczki przeznaczone dla toalety wieczornej, to bogato jedwabiem przetkane modele o równie fantazyjnie przyozdobionych mankietach.

Dzisiejszy przemysł rękawiczniczy wykazuje nadzwyczajną ruchliwość i jest niewyczerpany w pomysłach. Przez swoją różnorodność materjału, kroju, formy i kolorów daje możność utrzymania w tonie i dostosowania rękawiczek do całości toalety.



MODNA RĘKAWICZKA

Dzisiejsza moda rękawiczek, jakkolwiek aż nazbyt kapryśna, jest dowodem dobrego gustu, pełnego pomysłów artystycznych.

Zmieniać można rękawiczki stosownie do pory dnia, przywdziewając przecudowne modele.

Przed południem do toalety spacerowej nosi się ładnie skrojone rękawiczki z irchy, uchodzące zawsze za bardzo eleganckie, utrzymane naturalnie w tonie stroju. Rękawiczki tego gatunku o brzegach perforowanych są bardzo modne.

Również wielkiem cieszą się wzięciem modele czarno-białe, gdzie od białego tła właściwej rękawiczki odbijają oryginalne wzory czarnych, szerokich mankietów. Zapinanie rękawiczki na guziki stanowi dla niejednej pani uciążliwą pracę, toteż moda uprościła ten problem, stwarzając rękawiczki ściągane paskiem, elegancko się prezentujące.

Do płaszcza sportowego stosowane są najczęściej rękawiczki «Nappa» o oryginalnym zamku zatrzaskowym.

Im bliżej wieczoru, tem bardziej fantazyjne stają się rękawiczki. Mankiety olbrzymieją, otrzymując wzorzystą inkrustację i tworząc istną grę barw.



Wzory rękawiczek firmy Szefner, Warszawa, Marszałkowska 140

PYJAMA (dokończenie)

Oczom nie wierzyła. Zdzwoniła nerwowo.

— Monsieur Biber o'u est?

— Monsieur Biber est parti.

— Par...!?

Z francuszczyzną jej było nietęgo. Nie wszyscy O'Connorowie władają biegle tym językiem. Więc posiedziała chwilę na brzeżku łóżka, z szeroko otwartemi ustami, a kiedy chasseur zamknął za sobą drzwi — wybuchnęła płaczem.

* * *

Nie był to jednak koniec jej smętnych przygód. Campostello Los Dryblasos okazał się takim samym hrabią, jak ona hrabianką. Poprostu, wydało się, że był płatnym tancerzem w pewnym, zresztą niezupełnie pierwszorzędnym, lokalu. Wyszło to na jaw dopiero wówczas, gdy Fela zauważyła brak dwóch pierścionków i bransoletki...

— Jezus Marja!... — zawołała.

Barman, świadek tej sceny, kiwnął głową aprobacyjnie. Był gorliwym katolikiem.

* * *

Końcowe perypetje panny Felicji Okoniówny nie nadają się absolutnie do druku. Upadła tak nisko, że musiała się nią zająć jakaś kolejowa *„Opieka nad młodą kobietą, podróżującą samotnie"*.

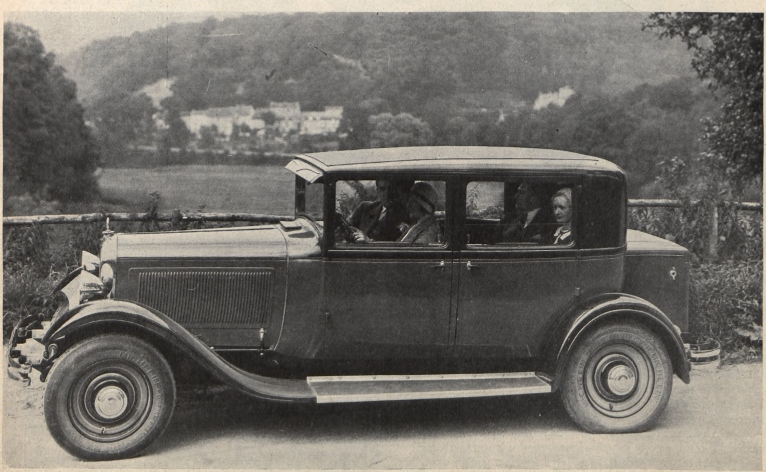
PANI SAMOCHÓD

— Jakim samochodem mam wybrać się na spacer dziś po południu? — oto pytanie, które wprawia w kłopot niejedną wytworną damę. Oczywiście taką damę, która rozporządza w swym garażu całą gamą maszyn, od smukłej silnej maszyny sportowej, aż do komfortowej, luksusowej limuzyny. Maszynę wybrać należy stosownie do celu wyjazdu, do pogody, do usposobienia, no i do kostjumu owej wytwornej pani.

Nasze panie nie są narażone na tak uciążliwe kłopoty, gdyż zazwyczaj rozporządzają tylko jednym samochodem, który służy wszystkim celom. Tem większa odpowiedzialność ciąży na tym jedynym samochodzie. Estetyczny jego kształt winien zwracać na siebie uwagę, budzić zachwyt przyjaciół i zazdrość przyjaciółek. Silnik winien pracować tak niezawodnie, by pani mogła na wycieczki jeździć sama, albo i «nie sama», wszakże bez fachowego szofera. Wreszcie karoserja powinna dawać komfort całkowity. Niedość na tem, ten sam samochód musi sprostać wysokim wymaganiom technicznym, skoro piękna pani zechce stanąć do zawodów sportowych.

Czy to będzie raid, czy rallye, czy też rolly paper, samochód musi spisać się bez zarzutu, bo w razie niepowodzenia nigdy nie będzie winna kierowczyni, lecz zawsze samochód.

Samochód pięknej pani musi być wobec tego uniwersalny. Takiego samochodu genjusz ludzki dotąd nie stworzył. Istnieją wszakże maszyny zbliżone do ideału. Do tych w pierwszym rzędzie należą samochody popularnej francuskiej marki, Citroen. W bieżącym sezonie sportowym Citroeny brały udział niemal we wszystkich imprezach sportowych, zdobywając zawsze zaszczytne odznaczenia. W licznych i wyjątkowo mocno obesłanych zjazdach gwiaździstych Citroeny okazały się na czołowych miejscach, wykazując niepospolite zalety turystyczne. Spowodowało to ogromne rozpowszechnienie samochodów tej marki. Szczególnie chętnie posługują się Citroenami panie, same prowadzące samochód. Citroen jest wyjątkowo łatwy w prowadzeniu, posiada kierownicę elastyczną, nie męczącą nawet przy dalekich podróżach Zewnętrzny wygląd Citroena stawia'go poza konkurencją maszyn podobnej klasy. Przemysłowi francuskiemu w danym wypadku przyszła z pomocą iście gallijska finezja i dobry smak..



Wytworny, jak zawsze, Citroen



Na Międzynarodowej Wystawie Hygjeny w Dreznie r. 1930, powszechną uwagę zwracała wieża Chlorodontu

Białe i zdrowe zęby

przez używanie pasty do zębów

Chlorodont

LWOWSKI WYŚCIG MIEJSKI

Na zakończenie oficjalnego sezonu samochodowego Lwów zapowiedział aż dwie sensacje: wyścig płaski na szosie Stryjskiej, zaliczony do rozgrywek o tytuł mistrza Polski, i wyścig okrężny o nagrodę miasta Lwowa.

Pierwsza impreza spaliła na panewce. Stawać do dwóch wyścigów dzień po dniu — na jednej maszynie niepodobna, a mając w perspektywie ciekawy wyścig miejski, wszyscy zawodnicy zrezygnowali z wyścigu szosowego. Tembardziej, że los mistrzostwa był przesądzony już po wyścigu Tatrzańskim na korzyść Maurycego hr. Potockiego. Postanowiono zatem zamiast wyścigu urządzić tylko oficjalną próbę szybkości, zaliczając jej wynik do rozgrywek o mistrzostwo.



Znany literat Z. Marynowski transmituje wyścig przez radjo

Gdy tak na szosie Stryjskiej Potocki walczył sam ze sobą o zwycięstwo, w zacisznej dzielnicy Lwowa, na ulicach Pełczyńskiej i Kadeckiej inne «asy» automobilowe (mamy już w Polsce tych asów całą talję) trenowały do wyznaczonego na dzień następny wyścigu okrężnego. Treningi te dały dowód nietylko wielkiej umiejętności kierowców, lecz i prawdziwego bohaterstwa mieszkańców «dotkniętej wyścigiem» dzielnicy. By nie tamować ruchu w porze dziennej, na treningi wyznaczono czas od czwartej do szóstej rano. Łatwo sobie wyobrazić «radość» obywateli tej dzielnicy, gdy od godziny czwartej rano dwadzieścia maszyn z otwartemi tłumikami rozpoczynało harce.

W tej właśnie dzielnicy znajduje się pensjonat, zwany «Zacisze». Na okres treningów i wyścigu powinien był stanowczo zmienić nazwę na «Zagłośno».

Olbrzymie trudności musiał pokonać Małopolski Klub Automobilowy przygotowując trasę wyścigu. Ta praca oczywiście byłaby niewykonalna, gdyby władze miejskie nie zrozumiały olbrzymich korzyści, jakie w przyszłości dać może miastu ta ciekawa impreza sportowa. Setki wagonów piasku i tłucznia zwieziono na trasę wyścigu i w przeciągu paru tygodni zamieniono wyboistą jezdnię w tor wyścigowy. Największy kłopot był z drzewami, które zakrywały pole widzenia na zakrętach. W związku z tem pewnej nocy «uschło» przy trasie naraz aż sześć drzew.

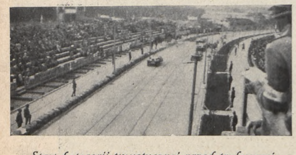
Specyficzny wygląd nadawały trasie stosy worków z piaskiem, któremi ozdobiono wszystkie wiraże, zakręty i prowokacyjnie stojące przy jezdni słupy tramwajowe oraz latarnie. Szczególnem powodzeniem cieszył się stos worków na rogu ul. Kadeckiej i Pełczyńskiej. Napoczęła ten stos pani Koźmianowa, rozpruwając parę worków. Chrząszcz natomiast potrafił wjechać na sam czubek i stamtąd pomyślnie powrócił na. jezdnię.

W przeddzień wyścigu ołowiane chmury zawisły nad miastem — rozpoczął siąpić drobny, uparty deszcz. Zawodnicy wpadli w czarną rozpacz:

— Jeżeli tak dalej pójdzie, nikt za życia tego wyścigu nie ukończy!

Lwowianie jednak nie tracili otuchy:

— Ta nie martwcie się, panowie, u nas deszcz obowiązkowo bywa tylko na otwarcie Targów Wschodnich. W innych dniach może być pogoda.



Start kategorji turystycznej przed trybunami przy ul. Pełczyńskiej

Jakoż w istocie przed południem dniu wyścigu promienie słoneczne zalały cały Lwów, susząc intensywnie trasę wyścigu. Liefeld, który od rana chodził ulicami i zadarłszy głowę, potrącał przechodniów, nie dawał za wygraną:

— Zobaczycie jeszcze — twierdził z manjackim uporem — zaraz zacznie znowu padać. O, już w tamtej stronie leje.

Wcale w tamtej stronie nie lało, tylko Liefeld chciał w ten sposób zaczarować pogodę. I zaczarował tak sprytnie, że słońce przyświecało przez cały czas wyścigów. Ale nic dłużej. Już w pięć minut po wyścigu deszcz lał tak sumiennie, jakgdyby przerwa na okres wyścigu była wywołana interwencją świętego Krzysztofa u Najwyższej Władzy niebiańskiej.

Przy ulicy Pełczyńskiej zostały wzniesione okazałe trybuny. Nad metą wznosił się mostek sędziowski zaopatrzony w specyficzne tablice. Mijając metę każdy zawodnik mógł rzucić okiem na tablicę i stwierdzić ilość okrążeń pozostałych do końca wyścigu.

Zawody rozpoczęto ze wzruszającą punktualnością. Nie dlatego, by organizatorom zależało na czasie, lecz ze względu na transmisję radjową, którą celebrował kolega Marynowski.

Punktualnie zatem o drugiej na start wprowadzono siedem maszyn turystycznych. Start z niezbyt uzasadnionych powodów odbywał się przy zgaszonych motorach. Na dany sygnał kierowca musiał najpierw rozruszać motor, później dopiero uruchomić samochód. Tę pierwszą trudność najłatwiej pokonała kobieta, jedyna kobieta, która odważyła się stanąć do trudnych zawodów — pani Marja Koźmianowa. Jej żółty Austro-Daimler pierwszy przemknął pod trybuną sędziowską, a dalej barwnym sznurem wyciągnęły się maszyny współzawodników.

Na trybunach wspaniały start pani Koźmianowej wywołał prawdziwą sensację. Nikt jednak nie przypuszczał, że ambitna kierowczyni w dalszym ciągu utrzyma się na czele wyścigu. Ku naszemu przyjemnemu zdumieniu z ulicy Kadeckiej na Pełczyńską pierwsza wypadła maszyna pani Koźmianowej. W krótkiej za nią odległości na długim fioletowym Stutzu pędził Kapliński. Dalej walczyły między sobą dwie Lancje prowadzone przez pp. Reima i Łępkowskiego. Tempa czołowej grupy zawodników nie mogły oczywiście utrzymać dwie małe Pragi pp. Chrząszcza i inż. Sroubka. Mimo znacznej różnicy w mocy silników, Pragi osiągnęły wyniki stosunkowo bardzo dobre. Zamykał korowód Buick, który imponował raczej regularnością, niż szybkością jazdy.

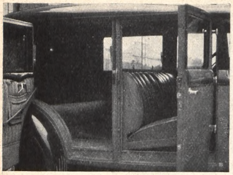
Po pięciu okrążeniach wynik wyścigu już był przesądzony. Pani Koźmianowa całkowicie opanowała tremę i miała nawet czas dłonią odpowiadać na oklaski, jakiemi ją witały trybuny. Przy powszechnym entuzjazmie pani Koźmianowa po siedmiu okrążeniach pierwsza minęła metę w doskonałym czasie 18 minut i 56 sekund, co oznacza przeciętną 67,43 km/godz. Panowie siłą okoliczności musieli poprzestać na cokolwiek mniejszych szybkościach.

(C. d. na str. 46)

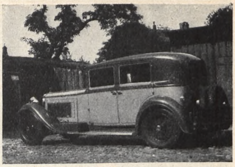


Na placu św. Zofji, Liptay daremnie usiłuje minąć hr. Potockiego


To są samochody Delage
DELAGE
GENERALNE PRZEDSTAWICIELSTWO:
D/H JERZY ŻOCHOWSKI, WARSZAWA, PLAC NAPOLEONA 5
TELEFON 339-33



PIĘKNE Z POŻYTECZNEM



Przewlekłe przesilenie ekonomiczne, paraliżujące życie kraju, bodaj najsilniejszy swój wyraz znalazło w dziedzinie samochodowej. Sprowadzenie z zagranicy samochodu stało się luksusem, nie ze względu na cel użytkowy maszyny, lecz na wysoką jej cenę, spotęgowaną wydatnie cłem.

Częściowo jednak problemat ten znalazł rozwiązanie w podjęciu fabrykacji karoserji samochodowych w kraju. Pierwsze nieśmiałe próby w tym kierunku podjęte przed czterema laty nie dały wyników zadowalających. Nie mieliśmy jeszcze ani rutyny, ani dostatecznej ilości doświadczonych fachowców. Te pierwsze doświadczenia nie stanowiły, mimo niewysokiej ceny, dobrej reklamy dla polskiego przemysłu karoseryjnego. Dopiero po uruchomieniu Fabryki karoserji Flinikowskiego wytworzyła się sytuacja tak pomyślna, że karoserja zagraniczna staje się wydatkiem zupełnie nieuzasadnionym i bezużytecznym.

Liczne nagrody zdobyte przez tę firmę na Konkursie Piękności Samochodów, dowodzą, że karoserje Flinikowskiego wyprzedziły nawet najwspanialsze karoserje zagraniczne, licznie na tym konkursie reprezentowane, tak pod względem linji jak i wytwornego, precyzyjnego wykonania.

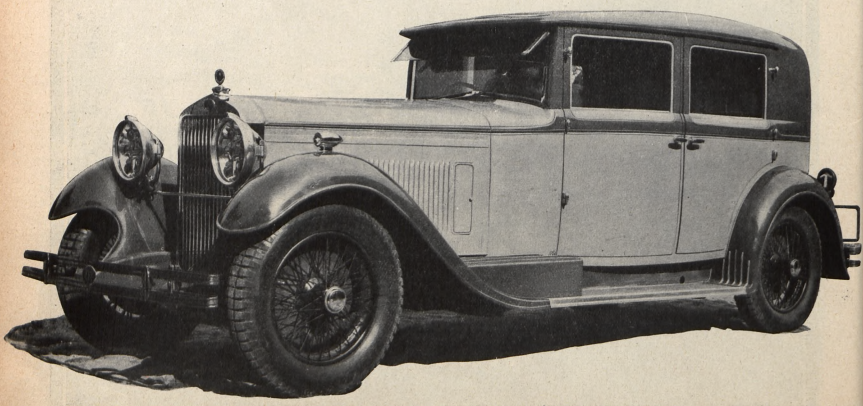
Próby, wykonane na przestrzeni wielu tysięcy kilometrów pozwoliły stwierdzić, że karoserje Flinikowskiego są bardziej trwałe i odporne w najgorszych nawet warunkach drogowych.

Mimo stosowania najlepszych surowców cena krajowej karoserji jest niższa od zagranicznej. Jeżeli weźmiemy pod rozwagę fakt, że koszt cła od samochodu wynosi w przybliżeniu tyle co całkowicie wykończona karoserja, nabywanie karosowanych samochodów staje się oczywistym absurdem.

Praktykowane dawniej zamawianie karoserji zagranicą miało tę wadę, że od daty zamówienia należało czekać przez szereg miesięcy na dostarczenie. Dzięki należytej organizacji pracy, Flinikowski dostarcza obecnie karoserje w terminie do dwuch miesięcy, przyczem klijent jest w stanie osobiście kontrolować postęp robót i jakość używanych do budowy materjałów.

Poza dodatnim wpływem masowej budowy karoserji na budżet państwowy podkreślić warto, iż jedna karoserja daje (w przeliczeniu teoretycznem) roczne zatrudnienie dwum robotnikom, a przez to wyżywienie dwum rodzinom robotniczym.

W tych warunkach każda karoserja sprowadzona z zagranicy ujemnie wpływa na bilans handlowy, pozbawia pracy polskiego robotnika i bezsprzecznie naraża na stratę materjalną samego właściciela samochodu.



Wytworna limuzyna, karosowana przez Flinikowskiego (Warszawa, Krochmalna 87) może z powodzeniem rywalizować z najlepszemi karoserjami zagranicznemi

fot. Dorys


TATRA
3 TATRY — 3 REKORDY
WYŚCIG W OJCOWIE:
VERMIROWSKY – rekord klasy 2-litrowej, pierwsze miejsce w kategorji sportowej.
WYŚCIG TATRZAŃSKI:
WEINSCHENK – rekord kategorji 3-litrowej,
VERMIROWSKY – rekord kategorji 2-litrowej.
Samochody Tatra cieszą się zasłużonem powodzeniem
UWAGA: Przy warsztatach została uruchomiona lakiernia pod kierownictwem wytrawnych fachowców. (System „DUCO“).
„TATRA-AUTO”
SALON WYSTAWOWY:
Al. Jerozolimska 14, tel. 409-22
DYREKCJA I WARSZTATY:
Czerniakowska 205, tel. 292-42

FRYDERYK JAROSSY

MOJE WAKACJE AUTOMOBILOWE

Warszawa — Wiedeń — Wenecja — Florencja — Viareggio — Lugano — Chur — Norymberga — Berlin — Warszawa, — oto punkty wytyczne mej tegorocznej podróży wakacyjnej.

5.000 kilometrów przy kierownicy mego Chryslera roadster.

Twierdzę, że jedynie podróż samochodem daje zadowolenie całkowite, pozwala bezpośrednio obserwować kraje i ludzi, nie krępuje rozkładami jazdy, nie zmusza do bezowocnego wyczekiwania na dworcach. Automobilista sam sobie obiera marszrutę, ustala miejsce postojów i czas wypoczynków. Ubi garaż, ibi patria.

Automobilista czyta w księdze piękności świata między wierszami i znajduje tam tajemnice, niedostępne dla pospolitych śmiertelników, podróżujących sleepingami.

Chciałbym jeszcze podkreślić życzliwy stosunek ludności zwiedzanych przezemnie krajów do automobilistów. Szczególnie jaskrawo występuje to, gdy samochód ulega defektowi. Obserwowałem to tylko na innych, bowiem sam jeżdżąc Chryslerem nie mogłem zapoznać się z jakąkolwiek reparacją.





— *Fryderyk Jarossy na swoim Chryslerze, odznaczonym pierwszą nagrodą na konkursie piękności samochodów w Szwajcarji*

«ZEMSTA», AL. HR. FREDRY

Otwarcie sezonu Ateneum.

Dotychczas przyzwyczajeni byliśmy oglądać «Zemstę» w ściśle realistycznem ujęciu, w ujęciu hołdującem bezwzględnie naturalizmowi.

Jaracz z nowej strony zbliżył się do «Zemsty». Jaracz odszukał w niej ton wieczystej aktualności, niezmiennej prawdy, dowolnie tylko z chronologją obyczajów związanej, przypadkowo oddanej Raptusiewiczowi i Milczkowi, a nie naprzykład dwum obywatelom Kartaginy czy Smithowi i Brownowi z Chicago.

Z tego też stanowiska wychodząc Ateneum podało nam «Zemstę» w nowem opracowaniu, w odpowiedniej stylizacji i oprawie scenicznej.

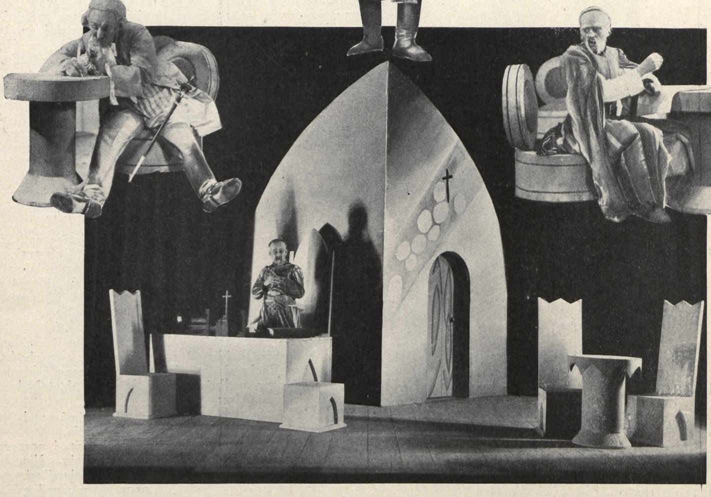
Teatr współczesny znajduje się dziś na bezdrożach poszukiwań nowej formy. Który ze szlaków zostanie wreszcie przeparty do teatru przyszłości – niepodobieństwo odgadnąć. W każdym razie, patrząc z nowego rozstaju na «Zemstę» teatru Ateneum, patrzymy z zaciekawieniem, z namysłem, z zainteresowaniem.

Więc przedewszystkiem Jaracz jako rejent Milczek. Nie widziałem jeszcze nigdy tej postaci tak świetnemi wycyzelowanej rękoma. Imponujące w rozmachu linje i drobiazgowe, filigranowe wystudjowane do głębi szczegóły. Każdy ruch, każda modulacja głosu, każde spojrzenie staje się nieodzowną cenną cząstką wspaniałej całości.

Rolę Cześnika znakomicie oddaje Chmielewski, który też «Zemstę» wyreżyserował. Łuszczewski, jako Papkin, nie zdołał wyeksploatować całego bogactwa akcentów, jakiemi Fredro tak hojnie obdarzył tego tchórza, pieczeniarza, blagiera i żałośnego pożeracza serc niewieścich. Oprawa dekoracyjna doskonała.

T. Dołęga Mostowicz.





„Zemsta za mur graniczny" Fredry w teatrze „Ateneum" — *Fot. St. Brzozowski*



CAŁUJĘ TWOJĄ DŁOŃ, MADAME...

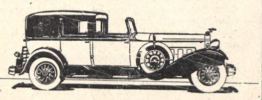
Jak pięknie brzmią słowa tego popularnego refrenu... Pocałunek, złożony na smukłej, wypieszczonej dłoni kobiecej – jakiż to piękny, romantyczny symbol. I nagle cały urok tego symbolu pryska – na smukłych, delikatnych palcach widnieją brunatne plamy.

Papieros w dłoni kobiecej wygląda zazwyczaj uroczo, lecz nikotyna wywiera zgubny wpływ na zabarwienie palców. A zęby? Najstaranniej pielęgnowane zęby pod wpływem nikotyny tracą swój nieskazitelny blask. Nawet na cerę nikotyna wywiera zgubny wpływ.

Więc co począć? Nie palić? Od nałogu odzwyczaić się trudno, zresztą dymek z papierosa tak subtelnym obłokiem otacza kobietę...

Więc trzeba się pogodzić z paleniem, ale raz nazawsze skończyć z nikotyną. Zatem niech pani sobie zapamięta –

papieros odnikotynowany.



Godny zaznaczenia jest fakt, że na każdych trzech nowonabywców PACKARDA dwaj pozbywają się wozu innej marki. Po raz pierwszy rozkoszują się oni posiadaniem wozu naprawdę wytwornego.

Zadowolenie ich wynika nietylko z niezwykłej sprawności, niespotykanego komfortu i wybitnego piękna linji, ale również – z poczucia, że wóz ich nosi zaszczytną markę PACKARD.

Poinformujcie się u właściciela PACKARDA.

PACKARD

AMERICAN AUTO

WARSZAWA, BELWEDERSKA 16.

TEL. 123-12 i 123-27.

JERZY RAWICZ

MIŁOŚĆ SUZY

— Hallo, Fred, to ja!

— — — — — — — — — —

— Pamiętaj: trzy czerwone róże, konjak i czarna kawa. O 9-ej. U ciebie.

— — — — — — — — — —

A teraz jest godzina dziesięć minut po jedenastej. Trzy pąsowe róże w kryształowym wazonie rozchylają stulone pąki, jak małe czerwone serca. W filiżance wyziębła niedopita mokka. Kusząco i wnikliwie pachną perfumy, naprawdę magnetyczne „L'aimant". Suzy załatwiła rozrachunki według sobie wiadomej buchalterji i śpi teraz, wtulona w jedwabne poduszki.

Fred siedzi obok niej na kozetce i nie zapala światła. Oczy nawykłe do ciemności rozróżniają kontury jej twarzy. Miękkie pukle jasnych włosów przesłaniają jej czoło, widać tylko linję wąskich brwi i puszystą frendzlę rzęs, zagiętych ku górze jak rzęsy dziecka. Obie dłonie podłożone pod policzek, ciepły smaczny oddech, przytulne skulenie w kłębek i wreszcie półobnażone ramionko tworzą obraz pełen niewinności, pełen niezawodnie przekonywującego dziecięctwa.

Czerwoną iskierką tli się papieros w ręce Freda. Czerwona iskierką migoce wśród kłębowiska myśli jedna myśl, ruchliwa, niespokojna:

— Jaka ona jest naprawdę, ta dzika dziewczyna? Sen jest niewinny i bezgrzeszny jak sen dziecka. Ale wszak na szyi płonie gorący znak tylko co zostawiony przez jej usta. Usta, które lepiej kąsają uśmiechem niż zębami. Wszystko w niej jest zagadkowe i proste zarazem. Dzikie i kapryśne. Szczere i wyrachowane. Dziwne i pociągające — ach, jak pociągające!

Poznał ją przed rokiem. Na wsi, przy partji krokieta. Wierzchołki sosen paliły się rudym blaskiem w zachodzącem słońcu. Pachniało igliwiem. Nosiła jasną sukienkę, i zielone jej oczy, podłużne jak sople lodu, migotały księżycowo jak oczy Alraune.

Kula krokietowa, posłana przez nią jakimś oszalałym zygzakiem, boleśnie odbiła się o kostkę Freda.

Bohatersko przetrzymał partję do końca, i przeprosiwszy towarzystwo, udał się do swego pokoju. Nie słyszał, że drzwi cicho skrzypnęły. Noga darła niemiłosiernie. Wtem ktoś nachylił się nad nim, poprawił mu poduszki— czyjeś usta gorące niespodzianie wessały się w jego napół dziecięce, niedoświadczone wargi.

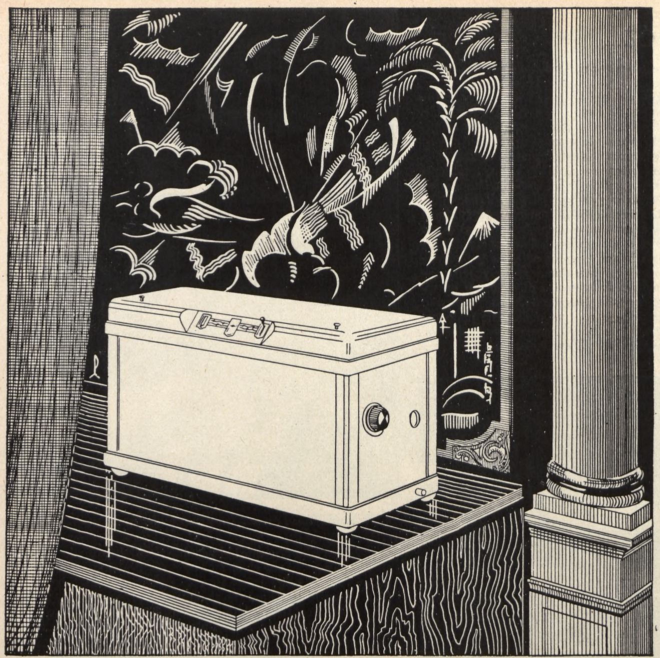
— Suzy?...

— Masz takie śliczne dziewiętnaście lat i nosisz morelową koszulę. Lubię ten kolor. Dlatego przyszłam.

Fred ani wtedy ani nigdy później nie domyślił się związku między wizytą panny Suzy a jego sportową koszulą. Aczkolwiek związek ten nie został wyjaśniony, tem niemniej Fredowi została nadana nazwa „morelowego chłopczyka". I wraz z tą nazwą został nadany cudowny a bolesny przywilej niespodzianych wizyt panny Suzy.

Przychodziła kiedy chciała. Były to małe wysepki szczęśliwości, rozsiane po istnem mare tenebrarum dręczących młodzieńczych utęsknień. Serce Freda hartowało się w ogniu beznadziejnych oczekiwań. Suzy nie chciała nic o tem wiedzieć. Kaprys był jej busolą, jej najświętszem prawem, jej religią. Całe istnienie Freda zbiegło się w szarą chustę, haftowaną nieprzewidzianym ściegiem jej zachcianek. Mimo pewnego poczucia krzywdy, Fred nie mógł jej zarzucić, że dotrzymuje mniej niż obiecuje. Poprostu ich stosunek mimo iż trwał tak długo, nie miał żadnej ciągłości. Fred nie wchodził w rachubę jej życia. Życie jej należało do niej. I była z tego naprawdę dumna.

(C. d. na str. 49).



Odbiornik, o którym tyle można powiedzieć...

Zdobywca pierwszych nagród na konkursach radjowych w Londynie, Barcelonie, Sewilli, Pradze Czeskiej i Wilnie.

Niezwykła prostota strojenia, przy pomocy jednej tylko gałki. Silny, wierny i czysty odbiór całej Europy.

Cena zł. 1750. Broszury na żądanie.

Polskie zakłady Philips S. A.

Warszawa, Karolkowa 36/44.

J. KIEWRARSKA

BLANSZ I RÓŻ...

— Nie pomoże blansz i róż, kiedy panna stara już — śpiewały nasze prababki.

— Jakie to staroświeckie! «Blansz i róż»... któż widział kobietę «zrobioną» na biało i różowo! Fi donc! Co innego na beżowo i morelowo, na bananowo i lilas-rouge, wreszcie na miedziany bronz, to rozumiem. Paleta nowoczesnej kosmetyki jest bogata i nieskończenie urozmaicona. Osobista inwencja ma olbrzymie pole do popisu. Żadnej standaryzacji! Żadnych ograniczeń! Jak kto chce i co kto lubi, — aby ostateczny efekt wypadł szczęśliwie i harmonijnie.

Tylko... tylko ostrzegam piękne panie, że czasy skrajnego impresjonizmu w kameralnem malarstwie autoportretowem, już minęły. Paryż, stolica mody, hołduje obecnie realizmowi. Oficjalne hasło brzmi: — modne są kobiety nieumalowane. — W języku praktycznym tłumaczy się w ten sposób, iż malować się należy dyskretnie, z dbałością o prawdopodobieństwo. Nie wypada obecnie np. zasmarowywać ust szczelną, białą szminką a na tym podkładzie malować dowolnych rozmiarów i kształtów czerwonego serduszka. To razi, to tchnie prowincją. C'est mal porté.

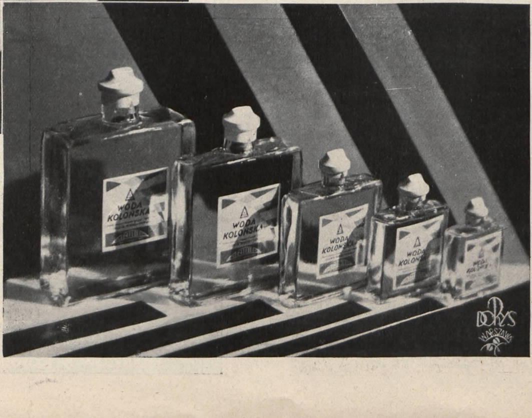


Modne są kobiety nieumalowane... Kremy zyskują coraz większe prawo obywatelstwa

Odcień pudru musi być idealnie dobrany do koloru skóry, raczej cokolwiek ciemniejszy niż jaśniejszy. Boże broń! nie biały. Wyglądałoby się jak szczur z mąki. A róż... O ile wogóle jest Pani niezbędny, bo przecie matowo kremowa, lub bronzowo-złota cera może wyglądać bardzo interesująco bez rumieńca, otóż jeżeli Pani chce koniecznie, to róż dyskretny, nie buraczkowy, ciepły w tonie i nałożony



Nowoczesna kosmetyka idzie drogą leczniczą.



Wzory kosmetyków (krem Haz-Elite, mydło, woda kolońska) marki „Antiba". Fabrykacja: L. Spiess i Syn, Warszawa

leciutko, leciuteńko. Nie można przecie dopuścić do tego aby mąż mówił z niesmakiem. — Ależ wytynkowana jesteś — a serdeczne przyjaciółki przezwały Panią: — «portrait peint par elle même».

Że najlepszym kosmetykiem jest zdrowie, prawda to stara jak świat, lecz dotąd nie udało się jej zaprzeczyć. To też nowoczesna kosmetyka idzie drogą leczniczą i osiąga zupełnie imponujące rezultaty. Tylko, że na taki rezultat zawsze wypada zaczekać, a umalować się można prędko: raz, dwa, trzy... To też zawsze będzie wiele zwolenniczek tej szybszej metody.

Ale tak jak znacznie ważniejszym niż regularne rysy jest wyraz twarzy, charakter spojrzenia, czar uśmiechu — słowem wdzięk, tak ważniejszym niż staranne i twarzowe umaquille'owanie się, jest zapach. Dyskretny, nieuchwytny obłok aromatu otaczający Panią. Był czas kiedy kobieta wytworna widziała punkt honoru w tem aby przez całe życie używać jednego, jedynego gatunku perfum. Pachniały jej suknie, chusteczki, listy... słowem wszystko co ją otaczało. Taka wierność nie była bez wdzięku, tak właśnie wdzięku, ale cokolwiek staroświeckiego.



Odcień pudru musi być idealnie dobrany...

— Kochała wiernie. Wierność była w modzie... — pisał poeta.

Otóż dzisiaj wierność nie jest już w modzie. Jest monotonna, grozi znudzeniem. Dzisiaj na każdą godzinę dnia nosi się inną toaletę, a do niej obowiązuje inny rodzaj wdzięku i inny zapach. Wielkie domy Paryskie lansują swoje własne perfumy, dobrane do ich kreacyj. Niektórzy z naszych grands faiseurs'ów idą za ich przykładem.

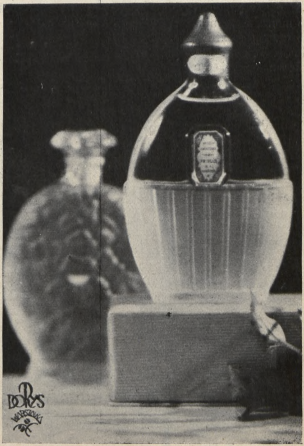
Modne perfumy nie mają już nazw poetycznych czy egzotycznych. C'est vieux jeu. To charakter taniej literatury. Noszą poprostu dumne nazwisko wielkiej firmy, która je lansuje i numer porządkowy. Chanel quatre. Molyneux trois. Herse jeden.

Wytworność dnia dzisiejszego jest oszczędna na efekty i słowa. Dąży do zwartej, syntetycznej doskonałości. Inna sprawa, że nie wynaleziono dotąd perfum tak doskonałych, którychby prawdziwa elegantka użyła, bez indywidualnej domieszki, czy przyprawy. Każda z pięknych pań posiada własne tajemnice kosmetyczno-perfumeryjne, któremi nie podzieli się nawet z najukochańszą siostrą. Już raczej tancerzem.



Do każdej toalety obowiązuje inny zapach...

Wzory kosmetyków (puder, krem, perfumy) firmy Fr. Puls. Warszawa



Dyskretny, nieuchwytny obłok aromatu...

Nie mieli jednak zapewne pretensji do swej szczęśliwej rywalki, która wygrała ten wyścig całkiem zasłużenie.

Po tej emocji megafon zapowiedział jeszcze większą sensację: startuje kategorja wyścigowa, mająca wykonać aż 17 okrążeń. Przed trybunami mechanicy ustawiają pięć wyścigowych bolidów — cztery Bugatti i jednego Austro-Daimlera. Liefeld na swojej biało-błękitnej torpedzie będzie miał niełatwe zadanie, na krętej trasie zasadniczo większe szanse mają krótkie, zwrotne Bugatti. Sam start potwierdza te obawy — Maurycy hr. Potocki zrywa z miejsca w zawrotnem tempie i próbuje odsadzić się od rywali.

Przez półtorej minuty słychać tylko rozgłośne granie motorów za drzewami, na górze Kadeckiej. Nagle z ostrego zakrętu na ulicę Pełczyńską wypadają dwie maszyny. Pierwszy idzie Liefeld, tuż za nim Potocki. Daremnie usiłuje Potocki dogonić Daimlera. Liefeld od chwili wyjścia na pierwsze miejsce rozpoczął regulować tempo nie podług swoich możliwości, lecz na dystans od następnego zawodnika. Mechanik Liefelda — Auer oglądał się i meldował jak daleko pozostaje w tyle Potocki, a Liefeld mając pewność, że może w razie potrzeby jechać prędzej, demonstrował przed zachwyconymi widzami swój piękny styl jazdy. Wyścig ten Liefeld wygrał tak, jak chciał — na trzynaście sekund przed Potockim. Zresztą dla Potockiego — drugie miejsce w tak silnej konkurencji — to wynik naprawdę bardzo dobry.

Pech uczepił się tego dnia kół maszyny Jasia Rippera. Gdy na starcie w ostatniej chwili grzebał pod maską silnika, znać było, że starowinka Bugatti nie jest w najlepszej formie. Jasio mimo to wystartował i po dwóch okrążeniach znowu począł dłubać w motorze. Po dwóch minutach naprawy Ripper okazał się na dalekiem piątem miejscu. Rozpoczął tedy Jasio energiczny pościg za rywalami. Z jednym uporał się szybko: Fr. hr. Mycielski «mierzył siły na zamiary» i przybył na metę 6 kilometrów po Liefeldzie. Gdy Heller na szosie Stryjskiej «zjechał z trasy» (jak to niewinnie brzmi — prawda?) i złamał koło, Ripper automatycznie wysunął się na trzecie miejsce i utrzymał je do końca wyścigu. Na przyszły sezon Jasio koniecznie powinien wystarać się o silniejszą maszynę. Brawurowa jego jazda zawsze mu zjedna uznanie fachowców i miłośników sportu automobilowego, lecz wynik cyfrowy będzie nadal korzystniejszy dla lepszych i silniejszych maszyn.

Po zwycięstwie Liefelda nad czwórką Bugattich przyszła kolej na samochody sportowe. Skład kategorji bardzo ciekawy: trzy Bugatti (Januszkowski, Liptay i inż. Bogucki), dwa Austro-Daimlery (Adam hr. Potocki i Widawski) i przysadzista Alfa-Romeo Skolimowskiego. Przy dość równej klasie kierowców trudno było przewidzieć, która marka zwycięży — francuska, austrjacka, czy włoska. Niestety, już na starcie zawiodły maszyny dwóch poważnych pretendentów do pierwszego miejsca w kategorji. Januszkowski dopiero po kilkunastu sekundach rozruszał silnik, w znakomitem tempie przebył dwa okrążenia i wycofał się z wyścigu wskutek rozbicia łożyska. Zawodnik to młody, ma więcej serca niż rutyny i, jeżeli tylko sosny nie będą stawały mu na przeszkodzie (jak to było na treningu przed wyścigiem Tatrzańskim) stanie się niebezpiecznym rywalem najlepszych naszych kierowców. Widawski stracił na starcie prawie całe okrążenie, pojechał jednak później z taką brawurą, żeześrodkował na sobie uwagę publiczności. Pobił nawet rekord szybkości na okrążeniu, lecz nie zdążył nadrobić dwóch minut, utraconych na starcie.

Wyścig prowadził tymczasem Skolimowski, który już ze startu ruszył najlepiej. O drugie miejsce toczyła się zażarta walka pomiędzy Potockim a Liptayem. Potocki nie mógł rozwinąć całej szybkości, jadąc na pięciu cylindrach, natomiast Liptay nie mógł jechać prędzej, mając przed sobą maszynę Potockiego najczęściej na lewej stronie jezdni. Ostatecznie Liptay minął Potockiego, lecz walczyć o pierwsze miejsce ze Skolimowskim już było za późno. Czerwona Alfa uzyskała przeciętną 75.84 klm./godz. i minęła metę w czasie 24'06", na 40 sekund przed Liptayem.

Na tem zakończył się wyścig okrężny o wielką nagrodę miasta Lwowa. Część zawodników wywiozła ze Lwowa piękne nagrody (do najpiękniejszych zaliczają się czeki na grubsze kwoty), pozostali — doświadczenie, z którego nie omieszkają skorzystać przy następnej okazji. *i. k.*

S. Magnqué

Dom Mody Nowy Świat 27

Poleca ostatnie nowości na sezon jesienny

Kapelusze
Suknie
Płaszcze
Kostjumy
Futra

Przyjmuje obstalunki z własnych i powierzonych materjałów.



Stanisława Karlińska, popularna zapowiadaczka teatru „Morskie Oko"



Konrad Tom: kierownik artystyczny produkcji filmów dźwiękowych T-wa „Syrena-Record-Film"



P. H. Tempel
Założyciel i Naczelny Dyrektor
T-wa „Syrena-Record-Film"

Miło jest stwierdzić, że w rozwoju produkcji filmu dźwiękowego Polska nie znalazła się na szarym końcu. Przed wielu innemi państwami Europy posiedliśmy własną, wzorowo zorganizowaną wytwórnię „Syrena-Record-Films", opartą o poważny kapitał i prowadzoną przez wybitnych fachowców krajowych i cudzoziemskich.

EMBARRAS DE RICHESSE

Przed kilku zaledwie laty jedynie Qui-pro-quo reprezentowało w stolicy podkasaną muzę. A dziś? Wystarczy rzucić okiem na afisze, wypełnione nazwiskami popularnych aktorów, by przekonać się, że z jednej skrajności wpadliśmy w drugą. W swoich podziemiach rezyduje po dawnemu Qui-pro-quo, przy ulicy Jasnej jarzy się światłami „Morskie Oko". „Wesoły Wieczór" przeniósł się na Nowy Świat, jego miejsce na Woli zajął „Uśmiech Warszawy". Przy ulicy Karowej rezyduje operetka pod kierownictwem Sempolińskiego, a przy Marszałkowskiej rozgościł się „Ananas" Jastrzębca. Lada dzień ma powstać jeszcze jeden teatr rewjowy — „Rajski Ptak" przy ul. Marszałkowskiej.

Siedem teatrów rewji — czy to aby nie zawiele dla Warszawy? Zresztą nie będę nic wróżył, niedaleka przyszłość pokaże, czy wszystkie teatrzyki wytrwają do końca sezonu.

Rewje inauguracyjne omówimy w przyszłym numerze.



Na próbie w Qui-pro-Quo. Marja Modzelewska opracowuje piosenkę, Jarossy ją wtajemnicza w arkana pracy rewjowej, a dyr. Boczkowski tajemniczo uśmiecha się. Sukces pewny...

Fot. St. Brzozowski



OBICIA PAPIEROWE
W WIELKIM WYBORZE

POLECA

F. STASZEWSKI
WARSZAWA, MAZOWIECKA 8. TEL. 70-85.

Próbował przekonywać, starał się tłumaczyć nietrafność zasad życiowych Suzy, uciekał się do wybiegów, usiłował uchylać te nazbyt jątrzące pauzy w widywaniu. Intuicja raczej niż rozwaga kazała mu nie przyznawać się do bezcennej wartości tych godzin, darowanych od niechcenia. Nigdy między nimi nie padło wiążące słowo. Zdawało im się obojgu, że unikając wyrazu „miłość", unikają zarazem jej sideł.

Fred wiedział dobrze, że na wszelki sentyment, Suzy ma broń niepokonaną i jedyną w swoim rodzaju. Orężem jej był uśmiech.

Znał na pamięć wszystkie ciosy jej uśmiechu. Czasem był uśmiech wzgardliwy, dumny i tak cienki, jak lodowata żmijka. Czasem był cynicznie drwiący i łobuzerski, jak papieros w ustach paryskiego gamin'a. Czasem— ale jakże rzadko! — był pełen ciepłej słodyczy, rozkwitły, bielejący migdałkami zębów, rozkoszny uśmiech kochanki.

Teraz właśnie tak uśmiechają się wargi Suzy. Policzek różowi się w rytm sennego tchnienia, jak brzoskwinia. Półobnażone ramionko ma wdzięk roztkliwiającej niewinności. Oddech pachnie miętą. Fred czuje wzbierającą aż w gardle falę rzewności, czuje słodycz jej znużenia, czuje jej nieporadną bezbronność i po raz pierwszy w życiu doznaje uczucia przewagi. Na nic się nie zdadzą te utarczki słowne między nimi — te ustawiczne zrywania i te powroty, jak dzisiejszy, po dwóch miesiącach rozłąki — te rozstania niepotrzebne, te grzechy bez szaleństw i te szaleństwa bez grzechu. Ostatnie dwa miesiące zahartowały go i umocniły jego pozycję. Potrafił poprostu żyć bez niej. Załatwił to sam ze sobą: zabronił sobie nawet pocichutku używać imienia Suzy. Niema — i koniec! Teraz będzie inaczej! Przestanie go dręczyć ten dziki kaprys o rozwichrzonej grzywie! Dość! Jest na to sposób!

— Suzy!

Na szept imienia unoszą się spłoszone skrzydła długich złocistych rzęs. Natychmiast trzeźwe, podłużne chryzolitowe oczy patrzą prosto w twarz Freda.

Jakim cudem zrodziło się szaleństwo tej myśli? Jakim cudem wyrwała się myśl na nieśmiałe zazwyczaj usta— i jakże bezdźwięcznie spadła, przerażona własnem zuchwalstwem:

— Czy chcesz być moją żoną?

Kara nie dała długo na siebie czekać.

— Żoną? T w o j ą żoną? No, wiesz, ubawiłeś mnie, morelowy chłopczyku — smyku w krótkich spodenkach!!

Ach, te słowa nie bolą tak bardzo, jak wtórujący im śmiech! Rozpoczął się wąziutkim ironicznym uśmieszkiem, zaczajonym w kącikach warg — a teraz rozrasta, pęcznieje, wzbiera w bujną gamę głośnego chichotu. Zarzuciwszy głowę wtył, Suzy śmieje się pełnym przelewającym śmiechem, który rwie, szarpie, rozrywa na strzępy godność własną Freda. Teraz i on czuje bolesną niezręczność zadanego pytania, i obcość, przeszywającą obcość pogardliwej odpowiedzi.

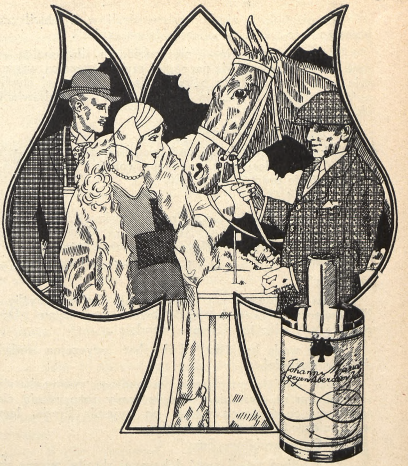
Pokój cały napełnia się śmiechem. Każda nuta kłuje jak śpiczasta igła. Śmieje się kryształowem drżeniem wazon na stole. Śmieją się starczym chichotem filiżanki czarnej kawy. Nawet za oknem poufałem mruganiem śmieje się lampa łukowa. I śmieje się — Suzy!!

— Przestań!

Przed oczyma chłopca wzbiera czerwona fala nienawiści. Żyły pęcznieją i tętnią niebezpiecznie. Ach, ogłuchnąć można pod smagającym biczem tego śmiechu!

A Suzy śmieje się coraz głośniej — coraz śmielej — coraz straszniej! Fred nienawidzi jej śmiechu — oddechu wionącego miętą czy Odolem — tych splątanych kasztanowatych włosów — tych rozchylonych ust.

A najbardziej nienawidzi przechylonej ku tyłowi szyi, wiązadeł drgających rytmicznie w takt szyderczego śmiechu. Jak nienawidzi!...



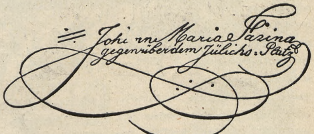
OD 220 LAT

towarzyszy generacjom nieprzerwanie

woda kolońska

„Farina gegenüber"

i również dziś uważana jest przez znawców za najstarszą i najlepszą wodę kolońską. W obecnej dobie silnego uprawiania różnych sportów występuje tembardziej potrzeba używania dobrej wody kolońskiej. Woda kolońska „F a r i n a g e g e n ü b e r" (z czerwonym znaczkiem ochronnym) wyrabiana jest od roku 1709 wg. niezmienionej recepty z kompozycji najszlachetniejszych olejków i najczystszych surowców



JEDYNIE PO CZERWONYM ZNACZKU POZNAĆ MOŻNA PRAWDZIWĄ WODĘ KOLOŃSKĄ „FARINA GEGENÜBER"

— Zamilcz, Suzy!

Już nie śmiech, ale konwulsje. Jeśli w tej chwili nie przestanie, to... Och, ta znienawidzona szyja!...

W nagłym porywie — niespodzianym dla obojga — ręce Freda zaplatają się na nagiej szyi i przemocą wgniatają do gardła naddarty półton śmiechu. W jednej chwili nuta przechodzi w jakiejś kwilące rzężenie, w dławiący charkot przerażenia...

A potem wszystko milknie.

Jak kruchą jest krtań pod naciskiem nieprzytomnych palców! Głowa leci wtył, opada bezwolnie i miękko. Dłonie nawet nie próbują się bronić.

— Suzy!

Głuche milczenie. Ręce Freda, błyskawicznie oprzytomniawszy, zwalniają uścisk i błądzą drżące wzdłuż przycichłej twarzy. Nic. Nawet nie słychać tętna.

— Suzy! Dziewczynko kochana, odezwij się! Błagam cię! Suzy!...

Cisza. Lodowaty pot oblewa czoło Freda. Czyżby... Niedowierza jeszcze łatwości dokonanego czynu. Doprawdy... A więc tak łatwo o zbrodnię!...

Gdzie woda kolońska? Lub choć zwyczajna woda? Ach, w wazonie!

Róże, ciśnięte pośpiesznie na podłogę, rozsypały się w popłochu na dywanie. Krople wody rozpryskują się niezdarnie po drżących rękach, po pyjamie Freda, lecz wciąż niezgodnie z przeznaczeniem.

— Co ja zrobiłem, Suzy!

Przeraźliwa świadomość dokonanej zbrodni miesza się z uczuciem niezmiernej żałości. Bezgranicznie drogie wydaje mu się to pokonane przemocą ciało, i dopiero teraz czuje, jak bardzo, jak mocno ukochał ten „dziki kaprys". W jednej chwili własne życie wydaje mu się bezużyteczne i chybione, jak zdmuchnięta świeca.

Zbrodnia? Nie, nawet nie czuje winy, nie czeka na karę. Tylko tak żarliwie, aż do szlochu w gardle żal mu cudnego życia, które samowolnie zgasił — i tak bardzo pragnie natychmiastowej śmierci.

Tam — na stole pod ścianą, w pudełku zamkniętem na kluczyk, jest zbawienie. Mały zimny otwór, przyłożony do skroni — pewno ból przejmujący jak okrzyk — pewno trochę ciepłej krwi. I już: błogosławiona nicość.

Poomacku błąkając się, ślepemi palcami Fred odnajduje wiadome pudełko. Szklistem zimnem wita go czarny oddech śmierci. Za cenę żadnego klejnotu nie oddałby tego małego browninga, który wymierzy najsprawiedliwszą i jakże upragnioną karę.

Jeszcze jedno ostatnie życzenie. Spojrzeć, pożegnać. Cichutko klęka obok kanapki. Wielkie łzy przesłaniają mu oczy.

Zobaczyć przy świetle ją, ostatnie ukochanie... Palce jednej ręki kurczowo zaciskają rewolwer, a druga ręka niezbornym, błąkającym ruchem naciska guzik kontaktu. Róża, przygnieciona kolanem, wbija się ostrym kolcem, ale Fred tego nie czuje.

W różowawem świetle nocnej lampki twarz Suzy nie jest bledsza niż zwykle. Tylko na szyi czernieją dwie sine pręgi. Tędy biegł szlak śmierci.

Z beznadziejną rozpaczą przywiera głowa Freda do zwisającej ręki, po męsku zwartej, która jak w cuglach trzymała jego życie. Dłoń przybliża do czoła rewolwer...

Wtem... Czy to cud?...

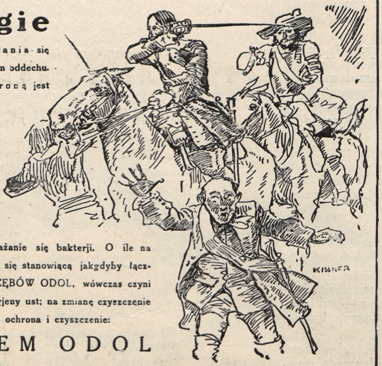
Dobrze znana, tylekroć całowana ręka gładzić go poczyna po włosach, „plątać w jedwabiu", jak to się nazywało w szczebiocie wspólnych pieszczot — najdroższa głowa pochyla się nad nim i przerażone oczy Freda poznają podłużne zielone oczy, tak samo trzeźwe po omdleniu, jak przedtem po przebudzeniu ze snu. Oczy te, mądre, czujne i zalęknione przebiegają szybko od spłakanej twarzy chłopca do rewolweru, wycelowanego w skroń.

Jednym sprężystym chwytem mocna dłoń podważa rękę Freda — browning z głuchym stukiem spada na dywan — czarujące usta uśmiechają się rozkosznym, „kwitnącym" uśmiechem i z za czerwonych warg pada nieoczekiwane:

— Kocham cię, Fred.

Wrogie

bakterje wchłania się masami przy każdym oddechu. Właściwą ochroną jest płókanie ust ODOLEM. Płyn do ust ODOL pokrywa zęby i całą jamę ustną przezroczystą antyseptyczną warstwą, uniemożliwiającą dalsze rozmnażanie się bakterji. O ile na uzupełnienie stosuje się stanowiącą jakgdyby łączność PASTĘ DO ZĘBÓW ODOL, wówczas czyni się wszystko dla higjeny ust: na zmianę czyszczenie i ochrona: ochrona i czyszczenie:



SYSTEM ODOL

BIURO PODRÓŻY

ICAR

HOTEL EUROPEJSKI

TELEFON 32-23

BILETY DO TEATRÓW, KOLEJOWE I INNE. – KANTOR WYMIANY I LOTERJI. – TŁOMACZENIA. – WYCIECZKI. – PRZEWODNICTWO. – KARTY OKRĘTOWE.

MAX WIT

«FATALNY DZIEŃ PANA WOLFRAMA»

Wolfram Filipowicz, jedyny przedstawiciel koncernu patentowanych włączników elektrycznych „KNIP" miał swój zły, swój bardzo zły dzień. Mniejsza o poranną sprzeczkę z żoną, która zamykała tylko klasyczną klamrą wczorajszą wieczorną obrazę. Mniejsza o łóżko, które kazała bezapelacyjnie wysunąć z sypialni do salonu — były to mało znaczące szczegóły, któreby w żadnym wypadku nie wyprowadziły Wolframa z równowagi. Nie należał przecież do kategorji nerwowców, okrywających się pianą spoconego oburzenia o sprawy nie warte skorupki zjedzonego jaja, o nie! Wolfram miał wrodzoną pełnię równowagi, którą tracił jedynie na wyścigach, przy zawrotnych, słonecznych obrotach lśniącej tarczy rulety oraz... Niech to jednak zostanie naszą tajemnicą tracił spokój, gdy patrzał na wygięty karczek Florci, pochylonej nad maszyną, szybko, szybko bijącej klawisze Remingtona.

Właściwie zaczęło się od tego białego karczku z figlarnemi splotami przedziwnie pozwijanych loczków, tulących się do pulchności onej boskiej dziewiczej szyjki, kuszącej od wielu dni Wolframa. Zasychały mu wargi w trakcie dyktowania listów, które zatraciły tak lubiany dawniej surowy spartański ton prostoty, wydłużały się niepomiernie w barokowe dygresje, literaturę, poezję-lirykę. Gdyby Florcia została jego sekretarką przed dziesięciu laty, z pewnością tkwiłby przy białym, kamiennym blacie „Ziemiańskiej" z rozczochraną czeredą jakiejś Kwadrygi, Muzy czy Pokrętnej Liry. Poprostu Wolfram Filipowicz nie byłby szefem przedstawicielstwa koncernu „KNIP" tylko błędnym, wygłodzonym poetą, piszącym ody do księżyca. W każdym razie nie schłyby niepotrzebnie wargi, pragnące nieoczekiwanie świeżości białej szyjki niezrównanej Florci, która stukała sobie na maszynie nic nie chcąc wiedzieć o mękach swego szefa. Wolfram umierał z pragnienia i tracił równowagę, stracił ją tak dalece, że obudzony wczoraj pocałunkiem swej szanownej połowicy Kundzi, półsenny, rozkosznie różowy i miękki oddał gorący całus i dodał:

— Florciu, piszmy dalej.

Od tego się właśnie zaczęło. Powiedziała: „Podły lubieżniku, oszuście, zdrajco, uwodzicielu, cudzołożniku nikczemny..." posypały się słowa rzęsiste, soczyste i mocne. Spał w salonie, a rankiem zmyty potężnie opuścił z przyjemnością ostygłe ognisko rodziny, zdecydowany ostatecznie na zdradę.

Florcia kończyła właśnie, cała wzburzona, jakąś przykrą rozmowę telefoniczną. Z trzaskiem powiesiła słuchawkę i dumnie prężąc swe małe, przytulne piersiątka zmierzyła go surowemi oczami, ciskającemi pioruny:

— To była pańska Ksantypa. (Zamarł)... Nie mam zamiaru więcej słuchać tych wyzwisk i paszkwilów, dziękuję za pracę... Zresztą pan jest... pan jest ordynarny kłamca i cham.

— Żeby to chociaż raz mnie pocałował, a później się chwalił — rzuciła z pogardą.

Stał zupełnie oszołomiony nie znajdując słów. Kundzia dokonała swego, napróżno teraz było mówić, tłumaczyć, napróżno.

— Bydlę... impotent... — splunęła w jego stronę i trzasnęła drzwiami.

Przypomniał sobie, że zupełnie niepotrzebnie udzielił jej zaliczki, teraz dostał za swoje. Taki był początek tego najgorszego dnia, w dodatku paskudne interesy: „Fonf i Spółka" plajta, miał właśnie piętnaście protestów, bagatela, 32 tysiące złotych z dymem, „Lampas i Kompas" zawiesili chwilowo wypłaty, „Dukla", „Kurc" i „Fintowicz"





proszą o nadzór sądowy, rekurs podatkowy odrzucony, sprawa z Klapowiczem beznadziejnie przegrana przez tego cymbała mecenasa Ciapowicza — zresztą w tym wypadku Kundzia miała rację, nie znosiła zawsze tego idjoty.

Tak czy owak było źle, wreszcie „bydlę" i impotent — oto bilans ponurego dnia.

Dzwonek telefonu chwilowo rozprószył złowieszcze rozmyślania Wolframa, leniwie przyłożył ucho do słuchawki:

— Allo Filipowicz?

— Tak. Cóż tam, panie Bluffmann... udała się... świetnie, nareszcie coś porządnego... te ostatnie anonsy, redagowane przez waszą firmę, były za przeproszeniem do... rachunek, dobrze, przyślijcie chłopca... Dowidzenia.

Z westchnieniem powiesił słuchawkę i spojrzał smutno na martwego Remingtona. Bydlę i impotent powiedziała, dlaczego?

— Bydlę — szeptał, wypisując gońcowi ostatni czek dla Bluffmana.

Chłopak wycofał się śpiesznie, trzymając w garści czek dla Bluffmana.

— Bydlę, to niby ja — tłumaczył sobie. — Sam bydlę, grubas ścierwo.

— Jest ten czek cholerny, — krzyczał Bluffmanowi, — ja już tam więcej nie pójdę, za co się przezywa od bydlaków?

— No, no, — uspokajał Bluffman, — bardzo porządne bydlę — płaci.

*

Mglistem, obwisłem spojrzeniem zmierzył pan Wolfram wnętrze kawiarni, zanim zajął stolik naprzeciw jakiejś bardzo fertycznej osóbki, którą usiłował się zainteresować.

— Napewno artystka filmowa, — konkludował leniwo, — zdaje się, że podobam się. Musiałem ją już kiedyś spotkać — przypominał sobie, ciągnąc z bulgotem kawę.

Gdy po chwili wyszła, nie patrząc nawet w jego stronę, poranne przykrości znowu wysunęły się z ukrycia; starał się je odegnać wszystkiemi siłami, poprosił o gazetę. Zaledwie spojrzał na zredagowaną przez Bluffmana reklamę, oczy omal nie wypłynęły mu z orbit i nie spłynęły po purpurowej twarzy; czarno na białem czytał: „Kupujcie jedynie patentowane spinacze marki „PINK", tylko one gwarantują pełne bezpieczeństwo instalacji elektrycznej. Jedyne przedstawicielstwo w kraju Filip Wolframowicz, Pilśniowa 69".

Z trzaskiem odrzucił drąg ze szmatą niefortunnego pisma — to przechodziło wszelkie pojęcie.

— ...i ja mu zapłaciłem, zapłaciłem za ten idjotyzm — przekleństwo.

— Czy to Bluffman? — ryczał w tubę telefonu.

— Sza! to ja, czego pan się wydziera?... widział pan anonsik... co? No!...

— Widziałem, łajdaku! — syczał Filipowicz — bodajbyś się nim udławił!... Od kiedy ja sprzedaję spinacze... co?... zawsze miałem włączniki, tak „włączniki"... Co za Pink? nasza firma nazywa się „PINK" od kiedy?...

H. LOURSE

ROK ZAŁOŻENIA 1795

FABRYKA
CZEKOLADY
I WYROBÓW
CUKIERNICZYCH

LESZNO Nr. 64. TELEFON 84-11

CUKIERNIE REPREZENTACYJNE:

HOTEL EUROPEJSKI
TELEFON 66-39

GMACH TEATRÓW MIEJSKICH
TELEFON 73-65

500 ZŁ. NAGRODY

A MIANOWICIE: 100 zł., 50 zł. i 14 NAGRÓD PO 25 zł.

drogą losowania będzie rozdzielone między tych, nadsyłających kupony, których odpowiedzi padną na hasło, otrzymujące największą liczbę głosów.

Należy z pomiędzy niżej przedłożonych haseł:

Nr. 1 **CUKIER — to zdrowie**
Nr. 2 **CUKIER żywi**
Nr. 3 **CUKIER krzepi**
Nr. 4 **CUKIER daje siłę**

wybrać dla propagandy takie, które będzie najmocniej wyrabiać w szerokich masach świadomość, że

cukier, to nie przyprawa dla smaku, a pokarm o wielkiej wartości odżywczej.

Do Biura Prop. Kons. Cukru
Warszawa, Krak. Przedm. 55

Głosuję za Nr. ....

Adres:

114

Nakleić znaczek 5 gr. i wysłać w otwartej kopercie z napisem „druk".

Każdemu nadsyłającemu kupon prześlemy gratis albumik z fotografjami **dwunastu asów polskiego sportu,** wykonany techniką wklęsłodrukową oraz nazwiska i adresy osób, które otrzymają nagrody.

Nazywamy się „KNIP", a adres jest 96, 96, a nie 69! — szczekał nieludzkim głosem. — Ja się nazywam Wolfram Filipowicz, a nie jakiś Filip z Konopi — złodzieju, oszuście, partaczu...

— Tylko bez obrazy, mój panie, za to się podaje do sądu! Dlaczego pan nie przeglądał korekt... Nie krzycz pan, jak to bydlę rogate, tpfu!

Wolfram wypuścił słuchawkę, stracił głos, nie mógł już wykrzesać żadnego słowa.

— Masz rację, Antek, — decydował Bluffman, — ten Filip Filipowicz to jednak bardzo ordynarne bydlę.

*

Wolfram ostatecznie zmiażdżony wrócił do biura. Stanowczo miał zły dzień, opuszczały go resztki równowagi. Bał się zabrać do jakiegokolwiek zajęcia, przerzucał tylko chaotycznie papiery na swojem wielkiem jak kort tenisowy biurku, a ilekroć smutne spojrzenie padało na zamilkłe klawisze Remingtona, tylekroć coś słonego zjawiało się w gardle, co wypadało łykać z podejrzanym grymasem całego oblicza, patrzącego na świat niby przez burzową zasłonę chmur. Dręczyła go samotność i pustka w jego przytulnym do dzisiaj gabinecie. Zrozumiał, że brak Florci zabił cały urok, całe piękno dotychczasowej pracy. Z westchnieniem ulgi przyjął subtelne pukanie w oszklone drzwi gabinetu.

— Wejść — powiedział słabszym niż zazwyczaj głosem. — Wejść!

Młoda dziewczyna w obcisłym piaskowym kostjumiku z zalotnie wymykającym się z pod czapeczki złocistym kosmykiem i wężową torebką pod pachą wsunęła się zręcznie do pokoju.

Wolfram mimo woli podniósł się z fotelu, wyciskając odruchowo na usta najuprzejmiejszy ze swych uśmiechów.

— Czy mam przyjemność z panem Wolframem Filipowiczem? — zapytała tymczasem miłym, srebrzystym głosikiem.

Były to pierwsze cieplejsze słowa, jakie spłynęły dziś do uszu Wolframa. Ocenił to odrazu, wszak znał się na ludziach, a cóż dopiero na kobietach.

— Nie myli się pani — odpowiedział najgrzeczniej. Proszę. Wskazał krzesełko. Czem mogę służyć, pytał, tonąc oczami w wilgotnej purpurze drżących ze wzruszenia usteczek.

Dziewczyna zajęła wskazane miejsce. Torebkę położyła ostrożnie na biurku, a na niej ręce o długich cieniutkich paluszkach, drżących podobnie jak usta. Na buzi rozmieściła symetryczny, trochę wystraszony grymas uśmieszku.

— Pozwoli pan... pozwoli, że się przedstawię jestem... jestem Iza Piórkówna...

Na obliczu Wolframa odmalowało się nieskończone szczęście.

— Bardzo przyjemnie, bardzo. Zajrzał jej zdobywczo w jasne oczęta.

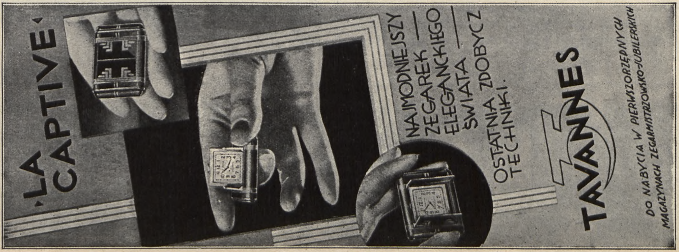
— Ja, ja jestem także przyjaciółką Florci... zawsze mi mówiła... Właśnie dzisiaj dowiedziałam się od niej, że... że no rozumie pan...

POLECA

ELIZABETH ARDEN
LONDON
Niezrównanej dobroci preparaty
„VENETIAN"
DO PIELĘGNOWANIA CERY



WYŁĄCZNE PRZEDSTAWICIELSTWO NA POLSKĘ:
Perfumerja
„F L O R A L Y S"
Warszawa, Trębacka 3. Tel. 409-46



Wolfram zrozumiał i ciężka chmura przysłoniła mu oczy.

— Ona jest trochę narwana, więc pomyślałam sobie, że taka dobra posada, zaliczki, prezenty... Zapłoniła się jak róża i opuściła oczy, pojąc Wolframa zachwytem, więc ponieważ mogę po francusku i... i w maszynie chciałam zaproponować czy Sz. pan? Ja już byłam sekretarką i mogę wszystko...

— Wszystko, — powtórzył Wolfram i jednym rzutem niezawodnego spojrzenia ocenił „wszystko". — Po francusku powiedziała i w maszynie sekretarka? Jednak jest jeszcze sprawiedliwość. Florcia? ważna mi rzecz Florcia...

— Panno Izo, — uśmiechnął się zgodnie, świetnie się składa, właśnie myślałem o odpowiednim anonsie... Warunki? zna pani, kończył urzędowo.

Cudny, nieskończenie jasny i zakłopotany uśmiech rozanielił różową buzię nowej sekretarki, niecąc „nowy" rozkoszny dreszcz w gorącem sercu Wolframa. Z wylaniem uścisnął łapinę i przytrzymał ją dłużej niż potrzeba o mgnienie, o sekundę.

...I właśnie ta przeklęta sekunda starczyła natrętowi, który zupełnie niespodziewanie stanął w złowieszczo nasuniętym na czoło kapeluszu w otwartych z trzaskiem drzwiach gabinetu.

— Ach i ty tutaj! — jęknął zdławionym głosem na widok Izy. — Precz od mej narzeczonej! Precz! — zagrzmiał archanielskim głosem tuż nad uchem Wolframa. — Precz, nikczemny alfonsie!

Wolfram i dziewczyna skamienieli z przerażenia śmiesznie przegięci nad biurkiem ze splecionemi w uścisku rękami.

— Nie starczyło ci hańby Flory? Odrazu zrozumiałem gdzie jesteś, — zwrócił się przybyły do Izy, — zaledwie dowiedziałem się od Flory. I to jest moja narzeczona. Zabiję! — wył patetycznie, przystępując z zaciśniętemi pięściami do Wolframa, który nareszcie wypuścił rękę Izy i przezornie cofnął się za wysoką poręcz fotelu, oniemiały ze zdumienia.

Przecież ostatnim wysiłkiem woli wypluł z siebie pytanie:

— Jakiem prawem? Jakiem prawem? Pan nachodzi moje biuro i obraża mnie...

— Ciebie nie można już obrazić stary, lubieżny koźle, złodzieju czci i cnoty niewieściej! Wiem wszystko. Flora opowiedziała mi, jestem jej bratem i narzeczonym tej oto dziewczyny...

Chwycił Izę za rękę i struchlałą powlókł za sobą.

— Pan odpowie mi za tę zniewagę, — protestował bezsilnie Wolfram.







DUNLOP

Panflavin-
w PASTYLKACH
dla ochrony
przed
zapaleniem gardła i zaziębieniem.
Do nabycia w aptekach.

Les Parfums Godet
PARIS

Eau de Cologne.
Lotions
O WYKWINTNYCH
I TRWAŁYCH
ZAPACHACH:
FOLIE BLEUE. SOUS BOIS.
PETITE FLEUR BLEUE I INNYCH.



Rękawiczki najnowszych fasonów poleca
L. Bosz, Warszawa, Wierzbowa 2

— Przed sądem za uwodzenie nieletnich, — odrzucił czuły brat trzaskając za sobą drzwiami.

Wolframowi pociemniało w oczach. Gdyby rozżarzyć wszystkie zapasowe lampy jego biura nie przebiłyby tej rozpaczliwej ciemności, która rozgościła się w jego duszy po tej scenie. Poprostu Wolfram Filipowicz, przedstawiciel koncernu „KNIP" stracił kontakt z własną jaźnią. Żaden z jego patentowanych włączników nie przywróciłby mu w tej chwili straconej, a tak potrzebnej równowagi ducha.

*

— Miałem dziś fatalny dzień, fatalny, bilansował swoje przeżycia, wlokąc się do domu wyczerpany, znużony i smutny.

— Same krótkie spięcia.

Cała instalacja jego egzystencji rozklejała się i psuła, jak zwalczana tandeta konkurencji. Jedynie sen i nocny spokój mogły odizolować go od tego wszystkiego co dzisiaj zaszło.

Na palcach, aby nie obudzić przypadkiem niebezpiecznej Kundzi, wsunął się do salonu, gdzie stało jego karne, osamotnione łoże. Rozbierał się pośpiesznie.

— Spać, spać. Sen jedynie mógł go przywrócić do życia.

Na stole pod nocną lampką leżała duża żółta koperta dyrekcji Koncernu z nadrukiem: Osobiste-Urzędowe. Te zawsze otrzymywał w domu, przynosiły najważniejsze i tajne instrukcje generalnej dyrekcji.

Z rozkoszą wyciągnął się pod kołdrą. Odruchowo wyciągnął rękę po kopertę i oparłszy się na łokciu czytał.

...i... że wobec fatalnej konjunktury i powszechnego kryzysu w kraju postanowiliśmy zwinąć generalne przedstawicielstwo i uzależnić agentury prowincjonalne wprost od Dyrekcji, wobec czego przystąpi Pan do likwidacji swego biura, co musi nastąpić ostatecznie w ciągu trzech miesięcy.

W miarę jak Wolfram czytał ten najgorszy list, oddychał coraz trudniej i ciężej. Do ust przypływała znana przykra gorycz. — Ach ten żołądek.

A ściśnięte w mały orzech serce zapadało gdzieś między trzewia. Cały byt, cała przyszłość zawisła w tych zdaniach, pełnych znaczenia, pozostawało jedynie post scriptum.

...Koncern „KNIP" ofiaruje Panu kierownictwo biura prowincjonalnego ze skromniejszem, z powodu przymusowej redukcji budżetu, wynagrodzeniem...

Ze skromniejszem wynagrodzeniem. Z żebraczą pensją, kołowało nieznośnie pod zmęczoną czaszką.

Życie szczerzyło mu groźnie zęby, trzeba było liczyć, liczyć i rachować, kręcąc się w stytłanej pościeli, w oczekiwaniu na zbawczy sen, ale upragniona izolacja minęła bezpowrotnie, rodząc nieustępliwą pewność, że On Wolfram Filipowicz przeżył swój najgorszy dzień.

DUNLOP



Perły...

Redaktor: IGNACY KOŁŁUPAJŁO. Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN. Wydawca: „KARO" Sp. z o. o.

Redakcja i Administracja: ul. Nowy-Świat Nr. 27, tel. 303-42. Konto P. K. O. 16190.

Cena ogłoszeń: 1 strona zł. 1.000; 1/2 strony zł. 550; 1/4 strony zł. 300. Ogłoszenia wielobarwne o 50% drożej.

Część nakładu wydrukowano na wykwintnym papierze kredowym. Klisze jedno i wielobarwne i druk Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61.



Drukowano na papierze kredowym Tow. Akc. J. Franaszek, Warszawa



Włosy starannie pielęgnowane, to włosy zdrowe. Shampoo Elida dzięki swym doskonałym składnikom, zapewnia włosom jedwabisty połysk, czyni je miękkiemi i puszystemi.

ELIDA SHAMPOO

KLISZE JEDNO I WIELOBARWNE I DRUK ZAKŁ. GRAF. B. WIERZBICKI I S-KA, WARSZAWA, CHMIELNA 61.
Drukowano na papierze kredowym Tow. Akc. J. FRANASZEK, Warszawa.